EPOKA

ROK VI. Warszawa, 25 kwietnia 1939 r. ROK VI. Nr 12 (151)

Egzamin chwili dziejowej

Przeżywamy chwile odprężenia. Wprawdzie jest to odprężenie bardzo względne, bardzo chwiejne, bardzo tymczasowe. Wprawdzie wszystkie te czynniki w sytuacji międzynarodowej, które wywołały, parę tygodni temu, wielki wstrząs psychiczny, jaki przeżyło nasze społeczeństwo, trwają nadal bez zmiany, ale — powoli przyzwyczajamy się i do tego. To jest bodaj najważniejszy fakt, zachodzący w naszej rzeczywistości. Wszystko staje się zwykłym, wszystko powszednieje — nawet napięcie, nawet stan ostatecznego niemal naprężenia.

Ma to niewątpliwie swoje dobre strony. Pozwala przede wszystkim społeczeństwu żyć i pracować normalnie. Życie nie może się zatrzymywać w oczekiwaniu na wielkie decyzje. Trzeba na codzień świeżego chleba — w każdej postaci. Trzeba żyć, nawet jeśli do orki wraz z pługiem brać się musi karabin. W takich warunkach hartuje się duch społeczeństwa. W takich godzinach próby najlepiej okazuje się wartość rzeczywista jednostek i grup, ruchów i ideologii. W takich sytuacjach twardnieją ludzie, stają się pewniejsi siebie, bardziej uspołecznieni, lepiej uświadamiają sobie łączność pomiędzy losem własnym, losem jednostki, a losem całości. Wzmożone czytelnictwo prasy, to jeden taki drobny, na zewnątrz występujący przejaw wielkiego procesu, dokonywującego się w takich chwilach w głębi społeczeństwa: procesu upolitycznienia, procesu aktywizacji najszerszych jego warstw. Proces ten dokonywa się w tej chwili w Polsce. I dobrze jest, że się dokonywa.

Ale stan powszednienia napięcia posiada i inne, mniej korzystne cechy. W okresach wielkiej fali entuzjazmu, wielkiego podniesienia nastrojów nawet maruderzy, nawet najpospolitsi zjadacze chleba przeżywają swoje górne chwile. Nawet oni ulegają ogólnej fali. Nawet oni gotowi są wtedy walczyć do upadłego. Ale kiedy mija chwila wielkiego napięcia — przychodzą do głosu i inne instynkty. Przychodzi do głosu wyrachowanie, osobiste sympatie, czy antypatie, przychodzi do głosu zwyczajna obawa o swoje własne „ja". Każda wielka sprawa przechodzi swą próbę dopiero w takich okresach pozornego „powszednienia". I jest nieuniknione, że próba ta musi ujawnić — nawet w społeczeństwach najbardziej dojrzałych — jednostki niegodne i słabe, jednostki typu Hachów i Beranów. Dojrzałość społeczeństwa wyraża się nie w tym, że niema w nim wcale takich jednostek — nie znamy takiego idealnego społeczeństwa. Dojrzałość społeczeństwa polega na tym, że potrafi ono tych Hachów i Beranów w czas izolować moralnie, w czas uodpornić się na ich podszepty, że potrafi tych Hachów i Beranów przezwyciężyć.

Społeczeństwo polskie zdaje wspaniale egzamin ostatnich tygodni. Kampania pożyczki przeciwlotniczej, zbiórka na F. O. N. — to tylko dwa zewnętrzne

przejawy jego postawy. Informacje „z terenu" mówią o tym, jak robotnicy, zarabiający po dwadzieścia złotych na tydzień, zgodnie z poleceniem swych organizacji zawodowych i politycznych, wykupują karnie i solidarnie bony pożyczkowe, jak chłopi, pozbawieni gotówki składają się po kilku na bon. Postawa społeczeństwa, postawa spokojnej, karnej gotowości wywołuje podziw nie tylko swoich, ale i obcych.

Ale przecież — w te imponującą całość gotowości, obejmującej całe społeczeństwo, gdzieniegdzie, korzystając z chwilowego odprężenia, zaczynają się wkradać pewne dysonanse. Pojawiają się już, gdzieś, skrycie, anonimowo niemal, głosy, że to w gruncie rzeczy właściwie niepotrzebny alarm, że niema się o co bić, że, w najgorszym razie, lepiej coś niecoś ustąpić. Zaczynają nagle jakieś niewiadome osobistości z pod ciemnej gwiazdy mówić o trudnościach, straszyć niepowodzeniami, radzić układność i ustępliwość. Pojawiają się tacy po biurach, po warsztatach pracy, w kawiarniach. W dwóch wypadkach, które osobiście zdarzyło się nam skontrolować, wynik był interesujący: zwolennicy „ustępliwości" okazali się związani węzłami rodzinnymi z ...niemieckimi hitlerowcami w Polsce. Agentura nie musi być agenturą formalną, agenturą płatną, agenturą bezpośrednią. Istnieją i etapy pośrednie, uzależnienie ideologiczne, poprostu wpływy części środowiska. Zwolennicy „ustępliwości" zapominają rzecz jasna o jednym: że za każdym ustępstwem idzie następne, że na drodze ustępstw niema zatrzymania, że pochyła równia „ustępliwości" prowadzi prosto w przepaść.

W innych wypadkach „ustępliwość" przyjmuje formy inne: oto słyszymy nagle, że to Żydzi chcą skierować Polskę przeciwko Niemcom, by załatwić swe porachunki z rasizmem niemieckim, albo że to Moskwa myśli o „wygraniu" Polski przeciwko Rzeszy, bo dąży do światowej rewolucji komunistycznej. Nie wyjaśniają tylko ci mądrale, jacy to Żydzi i komuniści siedzą w prasie niemieckiej i organizują w niej antypolską nagonkę, jacy to Żydzi i komuniści siedzą na odpowiedzialnych stanowiskach rządu Trzeciej Rzeszy — bo przecież Polska od Niemiec niczego poza spokojem i poszanowaniem jej praw nie żąda. Nie zdają, czy nie chcą sobie zdawać ci mądrale sprawy, że stanowisko Polski, stanowisko, które tyle żółci wywołało nad Sprewą, sformułowane zostało w znanym, z entuzjazmem przez całe społeczeństwo przyjętym artykule „Polski Zbrojnej" organu armii, którego nawet oni nie posądzają chyba o słuchanie instrukcji Mędrców Sjonu czy Międzynarodówki Komunistycznej. Ale czy z takich, lub podobnych insynuacji nie wynika jasno, że, w rezultacie, trzeba się koniecznie pogodzić, by nie sprawić przyjemności Żydom i komunistom, a pogodzić się można tylko kompromisem, takim wzajemnym — z całą pewnością wzajemnym! — ustąpieniem sobie nawzajem po trochu? Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Wszystkie argumenty defetystów prowadzą do kapitulacji.

Z tego trzeba sobie zdać sprawę. Trzeba pamiętać, że takimi samymi argumentami i argumencikami zaczęli swą robotę p.p. Beran i spółka. Trzeba pamiętać, że groźna jest nie tyle sama agitacja tego typu, co fakt jej milczącego tolerowania. I nie chodzi tu tylko o reagowanie w prasie czy na zebraniach. Ducha obronnego Polski trzeba bronić tam, gdzie on się wykuwa i gdzie mu działać wypada: w codziennym życiu. Na hachowsko-beranowskie argumenty trzeba reagować odrazu, z miejsca, ostro i nieprzejednanie, w biurze, w warsztacie pracy, w kawiarni, w domu. Nie wolno przyjmować defetystycznych wywodów milczącym wzruszeniem ramion. Trzeba tłumaczyć, że są fałszywe. Trzeba przekonywać tych, co je dalej powtarzać będą, izolować moralnie, stawiać poza nawiasem życia społecznego. Wielkie zadanie spada tu w szczególności na barki organizacji zawodowych, najściślej związanych z rzeszami ludowymi w mieście, na organizacje ludowe na wsi. Dla propagandy pożyczki przeciwlotniczej, dla wzmocnienia obronności państwa na jednym odcinku broni powietrznej organizacje te stworzyły specjalne komitety w terenie. Kto wie, czy nie byłoby dobrze przydzielić tym komitetom zadania szersze, zadanie czuwania nad odpornością psychiczną swych kolegów, zadanie walki z defetyzmem i kapitulanctwem?

Czytaliśmy w prasie, że robotnicy jednej z fabryk monopolowych wywieźli na taczce z fabryki robotnicę, która w obecnej sytuacji agitowała przeciwko pożyczce przeciwlotniczej. Nie znamy tej sprawy. Może była to poprostu ciemna, nieuświadomiona kobieta, do której można było trafić, którą można było przekonać innymi metodami. Ale wydaje się nam, że jeśli idzie o samą tendencję, o podstawowy kierunek działania. to robotnicy ci mieli racje. Ci co w chwili obecnej, kiedy nad Polską unosi się widmo niemieckiego imperializmu, działają mu na rękę, powinni być doprawdy na taczkach wywiezieni z tego wielkiego obozu, któremu na imię: Polska.

ROMAN LANG

„W tym przełomowym momencie naszych dziejów, gdy „Trzecia" Rzesza Niemiecka, zniszczywszy niezależność narodów czeskiego i słowackiego, grozi najazdem i zaborem wszystkim narodom z Rzeszą sąsiadującym, klasa pracująca Polski musi zdobyć się i zdobędzie się na największą jedność wewnętrzną i solidarność ideową, albowiem to stanowić będzie o istotnej sile oporu narodu polskiego przed nadchodzącą nawałnicą wojenną. A gdy dojdzie do ogniowej próby — jedynie masy potęga swojego entuzjazmu i dzielności złamią każdą próbę zamachu na całość i niepodległość Polski. I dlatego 1-szy Maja musi być dniem nie tylko mobilizacji mas robotniczych, chłopskich i pracowniczych, ale jednocześnie manifestacją jedności i poczucia historycznej odpowiedzialności za obronę i przyszłość Rzeczypospolitej.

Niechaj więc na zew Polskiej Partii Socjalistycznej i bratnich organizacyj klasowych — zjednoczy się lud pracujący wokół Wielkiej Sprawy Obrony Całości, Wolności wewnętrznej i Niepodległości Polski.

W poczuciu koniecznej solidarności i jedności ludu polskiego, złączymy się w dniu 1-szym Maja z narodami Europy i Świata, tak samo jak Polska, narażonymi na atak zjednoczonego totalizmu faszystowsko-hitlerowskiego".

Z odezwy pierwszomajowej PPS.

Dekada polityczna

Szach i kontr-posunięcia. Ubiegła dekada była dekadą kontrofensywy „wielkich demokracji" Toczyły się przez cały czas gorączkowe narady w sprawie montowania bloku pokoju, odbywały się interwencje dyplomatów, płynęły do baz morskich statki wojenne angielskie i francuskie. Najważniejszym jednak pociągnięciem ostatniej dekady było niewątpliwie orędzie prez. Roosevelta.

Analizujemy obszernie to orędzie nieco dalej. Tutaj stwierdzimy narazie, że posiadać ono będzie niezwykle doniosłe znaczenie dla jasnego sprecyzowania odpowiedzialności za przebieg wypadków najbliższych, że przesądza ono w ten sposób o stanowisku Stanów Zjednoczonych, że równocześnie, automatycznie niemal wzmacnia ono potężnie pozycje stronnictwa oporu w krajach Zachodu.

Inde ira — stąd gniew totalnych podpalaczy świata i ich zagranicznych pomocników, najemników i honorowych wielbicieli. Stąd też — rozpaczliwy atak monachijczyków angielskich i francuskich, ich manewry i dywersje, ich kombinacje z różnymi agentami i sub-agentami osi w poszczególnych krajach, znajdujących się na razie poza obrębem obu bloków, stąd rozpaczliwy wprost opór kapitulantów przeciwko dopuszczeniu do rządów przedstawicieli stronnictwa oporu. Ale wszystkie te manewry i wysiłki na razie tylko opóźniają, ale nie przeszkadzają ostatecznie stworzeniu zwartego frontu obrony pokoju, odrodzeniu, w innych warunkach i pod inną nazwą, tak wyszydzanego przez pachołków osi, zbiorowego bezpieczeństwa. Nadchodzi dziś w całej Europie godzina stronnictwa oporu — pisaliśmy bezpośrednio po obsadzeniu Pragi. Tak jest — pobieżny bodaj przegląd wypadków sześciu tygodni, jakie minęły od tej chwili, w pełni potwierdza tę ocenę. Ale zwycięstwo stronnictwa oporu nie przyjdzie za darmo — musi ono je sobie wywalczyć, musi złamać opór sił kapitulanckich i filototalistycznych, musi zdobyć władzę w Anglii i Francji.

Jak oś atakowała. Tak pięknie rozwijało się natarcie osi. Po aneksji Albanii, po przyjęciu — milczącym — do wiadomości tej aneksji przez mocarstwa Zachodu, już zarysowywał się atak dalszy, z Hiszpanią na czele.

Wobec zupełnego zglajchszaltowania reżymu frankistowskiego, wobec obsadzenia przez Włochów i Niemców wszystkich pozycji w aparacie wojskowym i policyjnym Hiszpanii, wobec wysunięcia się na czoło reżymu wyraźnie i wyłącznie zależnej od osi „Falangi" — nawet wycofanie „ochotników" włosko-niemieckich, zresztą odsuwane coraz dalej — ostatnie telegramy mówią o przesunięciu daty parady zwycięstwa na 30 maja! — traci stopniowo na znaczeniu. Cóż bowiem znaczy wycofanie oddziałów wojskowych, kiedy sztab hiszpański słucha rozkazów Rzymu i Berlina, kiedy ambasador hiszpański w Paryżu przemawia tonem... włoskim, kiedy porty Hiszpanii stoją do dyspozycji floty włoskiej i niemieckiej, kiedy Hiszpania związana jest ścisłym sojuszem z Niemcami i Włochami?

Hiszpania skądinąd szczególnie nadawała się do podjęcia ataku. Pachołka rzymsko-berlińskiego, generała Franco, nie wiązały żadne formalne porozumienia. Jego atak na Gibraltar, na Tanger, na Marokko francuskie nie byłby naruszeniem ani paktu angielsko-włoskiego, ani deklaracji niemiecko - francuskiej. Kto wie, czy nie udałoby się znowu „zlokalizować" konflikt, wygrać jeszcze jedną pozycję bez narażania się na ostateczne starcie. Dlatego właśnie na zachodnim odcinku Morza Śródziemnego koncentrowały się z początkiem ostatniej dekady wysiłki osi.

Niespodziewane orędzie prezydenta Roosevelta popsuło na razie ten plan.

Orędzie Roosevelta. Na czoło wszystkich zagadnień wysunął się telegram prezydenta Roosevelta do obu dyktatorów. Nie będziemy tu, rzecz jasna, powtarzali jego treści, znanej i tak z pism codziennych. Zwróćmy w każdym razie uwagę na niezwykle przekonywujący, jakże daleki od zwykłych, suchych, dyplomatycznych dokumentów, styl tego telegramu. Zwróćmy, dalej, uwagę, że prezydent Roosevelt postawił dyktatorów wobec niezwykle trudnego dylematu: albo przyjąć propozycje, które są sprzeczne z całą ich polityką, albo też wystąpić wyraźnie, jako ci, którzy pragną naruszenia pokoju.

Telegram Roosevelta nie jest bynajmniej dokumentem jakiejś stronniczej pasji. Pamiętajmy: prezydent w gruncie rzeczy przyrzeka uznanie dotychczasowych faktów dokonanych, z zaborem Czechosłowacji włącznie. Pamiętajmy: prezydent przyrzeka mocarstwom totalnym rozpatrzenie ich trudności gospodarczych, nawet ich żądań terytorial-

Rozpatrując dzisiejsze położenie międzynarodowe, wielu popełnia błędy dwojakiego rodzaju:

Jedni, przejęci złudzeniami, gotowi są brać poważnie każdy mocny gest lub słowo tych, co wczoraj jeszcze kapitulowali przed totalistyczną agresją lub wspomagali ją; grozi im tutaj nie jedno jeszcze rozczarowanie.

Drudzy, przepojeni usprawiedliwioną głęboko i zrozumiałą nieufnością do twórców Monachium i przyjaciół dyktatorów, trwają w bezpłodnej negacji, dopatrując się w każdym wystąpieniu Zachodu jedynie manewrów zamaskowanego kapitulanctwa; dlatego nie widzą oni, że mimo gry i wszelkich kombinacji kapitulantów odbywa się na Zachodzie potężna mobilizacja sił moralnych i materialnych.

Demokratom nie wolno błądzić w ten sposób: demokraci muszą być przygotowani na możliwą w każdej chwili, kolejną zdradę i kapitulację Monachijczyków, ale muszą też widzieć głębokie i zasadnicze zmiany pozytywne, wciąż się dokonywujące wbrew kapitulantom w społeczeństwach wszystkich krajów.

nych. Żąda tylko jednego: oto nie wolno im pretensyj dochodzić zbrojnie. Tutaj jest nieubłagany. Tutaj żąda najbardziej formalnych gwarancyj. Czy można odrzucić taką propozycję?

Nie chodzi tu tylko o blamaż ideowy. Chodzi o rzecz znacznie poważniejszą: o stanowisko Ameryki, tej Ameryki, która przecież już raz zadecydowała o losach jednej wojny światowej. Jeśli propozycje prezydenta, przyjęte z powszechnym entuzjazmem przez opinię całej półkuli zachodniej, zostaną odrzucone, napastnicy muszą liczyć się z faktem, że od pierwszej chwili cała siła Stanów Zjednoczonych będzie przeciwko nim. Jeśli przyjmą propozycję Roosevelta, jeśli udzielą gwarancji z zamiarem ich złamania — to muszą liczyć się z tym, że to złamanie również odrazu wywoła na widownię Stany Zjednoczone. Pryskają ostatnie nadzieje na izolacjonizm amerykański.

Nic dziwnego, że oś pieni się i szaleje.

Furor hitlericus. Warto było przejrzeć, w pierwszych dniach po orędziu, prasę włoską i niemiecką. Taki „Völkischer Beobachter" np. w jednym tylko artykule wstępnym skierował pod adresem prezydenta Stanów Zjednoczonych tylko trzy „komplementy": „sztuczki konowała", „łobuzerka" i „żydowski pismak". Zdarzały się oświadczenia wręcz wzruszające w swej szczerości. Jedno z pism wołało np. w nagłówku: „Odłożyć broń? Przenigdy!" i dodawało w artykule: „Co do nas, to wolimy zasiadać do stołu pertraktacyjnego z naładowanym rewolwerem". Prasa włoska, wbrew lansowanym przez niektóre faszysto-filskie organy wersjom, sekundowała wiernie niemieckiej. Dał jej zresztą swą sankcję ku temu sam Duce, mówiąc w swej, zaawansowanej niewiadomo dlaczego przez PAT-a na „pokojową", mowie o prezydencie Roosevelcie, jako o „pewnych indywiduach po drugiej stronie Oceanu, nie mających pojęcia o geografii Europy". Słowem, nożyce się odezwały. Główny akcent tkwił jednak nie w tych wymysłach. Decydujący jest motyw zasadniczy, przewijający się w całej prasie niemieckiej i włoskiej: gotowi jesteśmy pertraktować dopiero po kapitulacji naszych przeciwników, po uznaniu naszych „praw życiowych". Przy tym oś coraz mocniej uderza w struny wyraźnie wojenne. „Völkischer Beobachter" np. oświadcza: „Różnice zdań pomiędzy młodymi, prącymi naprzód, narodami świata, a zgrzybiałymi mocarstwami imperialnymi nie mogą być załatwione metodami konferencyjnymi skostniałych biurokratów i zasuszonych prawników". Radio niemieckie dodało do tego: będziemy mogli mówić z Zachodem tylko wtedy jeśli znikną tam dzisiejsi kierownicy, nie umiejący znaleźć wspólnego języka z dynamicznymi elementami własnego kraju. Słowem: przed pertraktacjami z Rzeszą trzeba oddać władzę we Francji i w Anglii w ręce pp. Doriota i Mosley'a. Ci niewątpliwie z nimi się dogadają — tak jak dogadali się już dawno. Jakże by pachołki mogły nie dogadać się z panem?

Co powie Hitler w dniu 28 kwietnia? Byłoby jednak błędem, opierając się na tonie prasy włoskiej i niemieckiej, przypuszczać, że Hitler odpowie w dniu 28 kwietnia wyraźną odmową. Niewątpliwie w mowie jego będzie wiele deklamacji, wiele obelg pod adresem zachodnich demokracji w ogóle, a prezydenta Roosevelta w szczególności. Ale równocześnie nie ulega wątpliwości, że znajdą się w jego mowie akcenty inne, obliczone na utrzymanie nici, prowadzących do monachijczyków Zachodu.

Treść rzeczywista oświadczenia będzie prosta: możecie mieć pokój, jeśli przyjmiecie nasze warunki, jeśli uznacie nasze i włoskie żądania kolonialne i inne. Ale forma będzie, być może, o wiele zręczniejsza. Nie darmo kanclerz Hitler jest zwolennikiem zasady, że przeciwnika do kapitulacji należy doprowadzać stopniowo, krok za krokiem, nie ujawniając przed nim bynajmniej odrazu całego zasięgu kapitulacji. Operacja czechosłowacka stanowi pod tym względem wzór, który nieraz jeszcze znajdzie zastosowanie.

Prawdopodobnie Rzesza dążyć będzie przede wszystkim do wyeliminowania Stanów Zjednoczonych z przebiegu pertraktacji. Stanowisko dyplomacji amerykańskiej mogłoby być niewygodne dla neo-monachijskich planów. Po drugie Rzesza będzie dążyła do usunięcia zbiorowych pertraktacji: metody „bilateralne" dają Rzeszy przewagę, o której nie może ona marzyć przy konferencyjnym „okrągłym stole". Po trzecie będzie ona starała się uczynić możliwie nieszkodliwymi dla siebie zapowiedziane rozmowy rozbrojeniowe, przesuwając je na koniec wszystkich pertraktacji. Po czwarte będzie dążyła do uniknięcia wszelkich ścisłych gwarancji, zwłaszcza takich, które byłyby kontrasygnowane przez Stany i, w razie naruszenia ich, mogłyby stanowić powód do ich bezpośredniej interwencji. Wysuwając tego rodzaju warunki i zastrzeżenia, kanclerz Hitler spróbuje prawdopodobnie wyzyskać cios prez. Roosevelta dla kontrofensywy osi, spróbuje wykorzystać orędzie rooseveltowskie dla osiągnięcia nowego Monachium.

Oczywiście, nie znaczy to wcale, że mu się to uda. Być może nawet, że sondowania w stolicach Zachodu wskażą na beznadziejność tego rodzaju rachub: wtedy, zamiast akcentów ugodowych, może przyjść grom, grożący bezpośrednią burzą. Być może, a nawet jest prawdopodobne, że akcenty ugodowe będą, ale obóz monachijski Zachodu okaże się za słaby, by je wykorzystać dla sprowadzenia kapitulacji swych krajów. Ale na razie wiele przemawia za tym, że Hitler spróbuje znowu zagrać na monachijską nutę i—że monachijczycy Zachodu spróbują zatańczyć w jej takt.

Monachijczycy przy robocie. Za takim przypuszczeniem przemawia przede wszystkim gwałtowne, gorączkowe niemal ożywienie roboty monachijskiej na Zachodzie. Jeśli trzeba byłoby dowodów na usprawiedliwienie naszej nieufności w stosunku do starych monachijczyków a świeżo upieczonych zwolenników oporu, to właśnie wypadki ostatnich kilku dni mogą służyć za najlepsze argumenty.

W Anglii kampania monachijska przybiera formy najwyraźniejsze. Przede wszystkim prasa monachijskiego typu wyraźnie wyciąga rękę do Niemiec. Artykuł wstępny „Times" po orędziu Roosevelta był jednym wielkim westchnieniem do Boga, by oświecił Hitlera i skłonił go do pożerania tylko tych ofiar ludzkich, na które przed tym zgodził się Chamberlain i podług ceremoniału, uzgodnionego z Chamberlainem. W rubryce „listów do redakcji" (bardzo pożyteczna dla lansowania poglądów, których na razie redakcja jeszcze nie może wypowiadać od siebie) jeden szlachetny lord po drugim doradza Polsce, by się koniecznie dogadała ugodowo z Rze-

szą (jakby to Polska żądała od Rzeszy, powiedzmy, Śląska Opolskiego i miała dlatego z czego rezygnować), jeden businessman po drugim tłumaczy, że właśnie teraz należy jeździć do Niemiec, by przekonać Niemców, że w Anglii są jeszcze — obok Duff Cooperów — także Astorowie i inni Mosley'e. Rozpoczęto nawet kampanię za wprowadzeniem w życie osławionego düsseldorfskiego paktu handlowego, zawieszonego pod naciskiem opinii publicznej bezpośrednio po okupacji Pragi.

Mniejsza o lordów. Ważniejsze jest to, że stanowisko rządu angielskiego zaczyna też nabierać dwuznaczności. Halifax zapowiedział już wyraźnie powrót ambasadora brytyjskiego do Berlina. Jest to gest, który będzie w Berlinie przyjęty na pewno jako dowód słabości, zwłaszcza, że wraca do Berlina właśnie sir Nevile Henderson, osławiony ze swego hitlerofilstwa. W prasie zagranicznej krążą uporczywe pogłoski, że rząd brytyjski nie ogranicza się do tego, ale wywiera nacisk na rządy poszczególnych krajów, zagrożonych ekspansją berlińską, by poszły wobec niej na pewne ustępstwa. Wiele przemawia za tą wersją: choćby pewne dwuznaczności w gwarancjach dla Rumunii i Grecji, gdzie nagle pojawiło się słowo **„wyraźne** zagrożenie niepodległości". Jak wiadomo, zdaniem mister Chamberlaina wyładowanie ponad stu tysięcy „ochotników" włosko-niemieckich nie stanowiło „wyraźnego zagrożenia niepodległości" Hiszpanii.

Za kapitulanckimi nastrojami w rządzie brytyjskim przemawia również uporczywe odwlekanie, tylekroć zapowiadanego, przyjęcia Churchilla do rządu. Nawet stworzenie Ministerstwa Uzbrojenia nie zostało wykorzystane w tym celu, ku oburzeniu zresztą nawet członków rządowej partii konserwatywnej. Ministrem uzbrojenia został Leslie Burgin, z grupy hitlerofila Simona Niewątpliwie wygodniej będzie rozpatrywać neo-monachijskie propozycje kanclerza Hitlera w towarzystwie Burgina niż w towarzystwie Churchilla lub Edena...

Naiwniej bodaj jeszcze niż w Anglii, występują Monachijczycy francuscy. Taki Elbel w „Oeuvre" pisze już wręcz, że Hitler może „przyjąć propozycje Roosevelta, **udając, że je odrzuca"**, innymi słowy, gotów jest w każdej hitlerowskiej odmowie dopatrzeć się „ustępstw", jeśli w niej tylko znajdzie się parę pięknych frazesów o potrzebie utrzymania pokoju. I to pisze się w „Oeuvre", własnym organie premiera Daladier! W tymże piśmie taki niejaki p. Clerc wręcz usprawiedliwia ekspansję Trzeciej Rzeszy potrzebą surowców Niemiec.

Południowo-wschodni sojusznicy monachijczyków Zachodu.

Ale byłoby krzywdą dla pp. Chamberlaina i Bonneta, gdybyśmy tylko ich traktowali jako przedstawicieli obozu dalszej, ponownej kapitulacji. Kto wie, czy mogliby oni tak śmiało prowadzić nadal swą robotę, gdyby nie pomoc innych polityków, przedstawicieli krajów bezpośrednio zagrożonych przez osiową agresję, różnych Metaxasów, Markowiczów, Gafencu. Ci panowie właśnie umożliwiają monachijczykom Zachodu kontynuowanie polityki kapitulacji.

Przyczyny tego rodzaju pomocy są jasne: kraje Południowego Wschodu, to kraje pół - lub całkiem dyktatorskie. Potężne nici sympatii ideologicznych wiążą taki rumuński front zjednoczenia narodowego, czy monopartię Metaxasa z ich berlińsko-rzymskim pierwowzorem. Obok tego — działają agentury bezpośrednie, którymi Berlin potrafił na szeroką skalę przeżreć ruchy totalistyczne innych krajów. Ponoć w Waszyngtonie istnieje wykaz polityków niemieckiego „Lebensraumu", będących na berlińskim żołdzie. Robotę agentur ułatwia zaślepienie grupowe sztabów monopartyjnych, obawiających się odrodzenia znienawidzonego „partyjnictwa". Z jakim rozgoryczeniem, umiejętnie kanalizowanym przez Włochów, obserwują naprzykład zwolennicy p. Stojadinowicza, ostatnie pertraktacje Cwetkowicza z Chorwatami, których rezultatem może stać się demokratyzacja ustroju jugosłowiańskiego! Więzy ideologiczne, interesy grupowe, powiązanie przez bezpośrednie agentury — każą monopartiom Południowego Wschodu Europy, wbrew interesom ich własnych krajów, jeśli nie solidaryzować się z osią, to w każdym razie wysuwać dziesiątki wątpliwości, zastrzeżeń warunków i waruneczków, których sens sprowadza się do jednego: do sabotowania wielkiego Bloku Obrony Pokoju, który jedynie może zahamować dyktatorską ofensywę. Słowem Markowicze i Metaxasy podają Chamberlainom i Bonnetom atuty, które ci już wykorzystują w rozgrywce zmierzającej do nowego Monachium.

Robota ta nie ma, oczywista, nic wspólnego z nastrojami ich własnych ludów.

Jeden z dziennikarzy, którzy niedawno zwiedzili Rumunię, nazywa Rumunów najbardziej frankofilskim i anglofilskim narodem Europy. Wiadomo, że nawet na galowym przedstawieniu, w obecności dyplomatów niemieckich, publiczność witała w Bukareszcie burzliwymi gwizdami wyświetlanie postaci dyktatorów, burzliwymi oklaskami pojawienie się na ekranie głów państw demokratycznych. Wiadomo, iż rezerwiści jugosłowiańscy, powoływani pod broń, szli masowo, śpiewając pieśni, skierowane przeciw Hitlerowi i Mussoliniemu, przeciw serdecznym przyjaciołom ich własnego ministra spraw zagranicznych. Wiadomo, że w tych samych dniach, kiedy do Berlina jechali szefowie sztabu armii i marynarki bułgarskiej, prezydent Sobrania sofijskiego i kilku ministrów króla Borysa, — studenci uniwersytetu sofijskiego tłukli szyby w konsulacie niemieckim, wiadomo, że stronnictwo ludowe i ruch robotniczy Bułgarii, skupiające wspólnie w swych szeregach przeważającą większość narodu, są zdecydowanie anty-osiowe. Polityka klik monopartyjnych jest sprzeczna zarówno z interesem narodowym, jak i z nastrojami ludów. Odpowiada ona jedynie interesom grup finansowych, posiadających również rozstrzygający wpływ na monachijskie środowiska Zachodu.

Pod znakiem zbiorowego bezpieczeństwa.

Błędem byłoby, jednak, jak czynią to niektórzy, traktować cały zwrot, dokonany w polityce mocarstw zachodnich, jako jeszcze jeden kolejny manewr mona-

Przez wiek cały los Polski związany był z losem wolności europejskiej. Dziś z niepodległością Polski wiążą się losy Europy.

chijski, pozbawiony wszelkiego rzeczywistego znaczenia. Zwrot bowiem dokonał się w istocie, tylko nie w świadomości Chamberlainów, lecz w opinii publicznej krajów Zachodu, w opinii publicznej nawet przeważnej części ich kół rządzących — i z tym zwrotem właśnie muszą się liczyć Chamberlainowie i Bonnety.

Trzeba bowiem zwrócić uwagę na fakt, ze za każdy tydzień trzymania się przy władzy, za każdy tydzień sabotażu i zwłoki pp. Chamberlain i Daladier płacą coraz nowymi ustępstwami faktycznymi na rzecz stronnictwa oporu. Za utrzymanie się przy władzy po zaborze Pragi p. Chamberlain zapłacił mową z Birmingham, przekreśleniem słynnej deklaracji anglo-niemieckiej, która miała, jego zdaniem, zabezpieczyć nam pokój na całe nasze pokolenie, wreszcie gwarancją dla Polski. Za milczenie przy podboju Albanii, za czasowe uratowanie paktu włosko - angielskiego — zapłacił gwarancjami dla Rumunii i Grecji, przyspieszeniem rokowań z Sowietami. Za niedopuszczenie w chwili obecnej Churchilla do rządu — jak długo uda mu się to jeszcze odwlekać? — zapłacić ma, zdaje się, nie tylko stworzeniem Ministerstwa Uzbrojenia, ale także czymś zbliżonym do wprowadzenia przymusowej służby wojskowej. Za każdych parę chwil, przez jakie wolno mu jeszcze żywić monachijskie nadzieje, płaci konkretnymi posunięciami, które coraz bardziej utrudniają realizację tych marzeń.

Droga rzeczywista, nieunikniona bodaj, mocarstw zachodnich, nie wiedzie, mimo wszystko, do Monachium. Wiedzie ona z powrotem do, tylekroć pogrzebanego, zbiorowego bezpieczeństwa. „Jeszcze kilka miesięcy temu — pisze z ironią Pierre Cot — mawiano, że dwóch tylko ludzi we Francji jeszcze wierzy w zbiorowe bezpieczeństwo: Cot i Boncour. Dzisiaj znowu wypadki same prowadzą nas do niego". „Wiara w zbiorowe bezpieczeństwo odradza się" — pisze konserwatysta brytyjski, poseł Adams.

Prawda, jest to już inne zbiorowe bezpieczeństwo: zbiorowe bezpieczeństwo precyzyjnych, konkretnych zobowiązań, nie mglistych, elastycznych paragrafów statutu Ligi Narodów. Ale nikt z prawdziwych zwolenników zbiorowego bezpieczeństwa nie przeczył nigdy, że takie przekształcenie jest słuszne i celowe.

Nie, Monachijczycy nie są już wszechwładni na Zachodzie. Świadczy o tym, m. i. bardzo dobitnie szereg pertraktacji angielsko-sowieckich.

Zachód a Sowiety.

Sprawa stosunku do Sowietów, sprawa włączenia Sowietów do planowanego bloku pokoju była w ostatnich dniach tematem gorących dyskusji politycznych i gorączkowych narad dyplomatów. Trzeba tu rozpatrywać dwie strony zagadnienia.

Strona pierwsza to postawa samych Sowietów wobec tego bloku. Jest ona w zasadzie dość prosta: Sowiety chciałyby zahamować ekspansję hitlerowską, gdyż wiedzą dobrze, że w jednym z dalszych punktów programu tej ekspansji znajdują się i one same. Ale — nie chcą na razie przeciwstawić się zbrojnie tej ekspansji same, w izolacji. Nie chcą, znowu po prostu dlatego, że wiedzą, iż są dopiero na jednym z dalszych punktów, że na razie Trzecia Rzesza omija starannie ich własne „sfery zainteresowania", nie zbliżając się zbytnio do miejsc drażliwych. Czyż np. nie skończyły się ostatecznie na niczym groźby hitlerowców kłajpedzkich pod adresem Rygi i Tallina? Trzecia Rzesza woli — na razie — nie mieć wspólnej granicy z Sowietami. To też Sowiety starają się uniknąć takiej sytuacji, w której musiałyby izolowane wystąpić zbrojnie przeciwko Niemcom, nim te ich zaatakują. Dlatego na zapytanie w sprawie Rumunii odpowiedziały — propozycją odbycia konferencji wspólnie z Anglią i Francją. Innymi słowy, powiedziały: owszem, gotowi jesteśmy wypowiedzieć wojnę Niemcom, ale tylko równocześnie z wami. Albo — jeszcze lepiej — w godzinę po was. Nieufność, zrodzona gorączkowymi zabiegami monachijczyków o skierowanie Rzeszy na szlak ukraiński, jeszcze nie wygasła na Kremlu.

Strona druga to stosunek do Sowietów Anglii i Francji. Mimo zapewnień p. Chamberlaina o braku jakichkolwiek „przesądów ideologicznych", są niewątpliwie uprzedzenia tego rodzaju, zarówno na dworze brytyjskim, jak i w partii konserwatywnej, czy w wielkich koncernach kapitalistycznych. Nie one jednak, jak się nam wydaje, odgrywają rolę decydującą. Czynnik główny jest inny: na uprzedzeniach ideologicznych grają umiejętnie zwolennicy orientacji monachijskiej, by uniemożliwić takie wzmocnienie sił Zachodu, które sparaliżowałoby próby nowego Monachium.

Nie będziemy tu wdawali się w ocenę wartości wojskowej Sowietów. Zaznaczmy w każdym razie, że i tu dzisiaj fachowcy wojskowi mówią o wiele ostrożniej, z o wiele większą skłonnością do poważnego jej traktowania, niż jeszcze przed kilku miesiącami. Stwierdźmy fakt niewątpliwy. Front pokojowy Nr. 1 na Wschodzie, front polsko-rumuńsko-turecki przyparty jest plecami do muru sowieckiego. Od tego, czy mur ten będzie otoczony drutem kolczastym, czy też przeciwnie, w murze tym będą liczne wyjścia, pozwalające na zaopatrzenie frontu w surowce i materiały wojenne, pozwalające na tranzyt broni ze Stanów Zjednoczonych czy z Anglii — może zależeć bardzo, bardzo dużo. Kto wie, czy nie zdolność obronna tego frontu. I dlatego — każde porozumienie pomiędzy państwami Europy Wschodniej a mocarstwami Zachodu, nie zabezpieczone przynajmniej przyjazną neutralnością Sowietów — a wiadomo, że w chwili niebezpieczeństwa przyjazna neutralność najczęściej przechodzi w jeszcze wyraźniejszą formę poparcia — będzie niepełne, cząstkowe, będzie mogło być łatwo storpedowane przez oś, będzie mało wiążące dla Zachodu. Stąd hasłem stronnictwa oporu na Zachodzie: od reakcjonisty Churchilla po bardzo czerwony Związek Zawodowy Górników Wielkiej Brytanii, od przedstawiciela Westminster Banku Edena po lewego socjalistę Stafford Crippsa jest właśnie włączenie Sowietów w blok obrony pokoju. „Tylko solidarna współpraca Wielkiej Brytanii, Francji, Polski i Z.S.R.R., przy udziale Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej może zapewnić wolność i niepodległość narodów" — oświadczyła niedawno w swej rezolucji Międzynarodówka Zawodowa. Ten pogląd jest poglądem całego „stronnictwa oporu", z jego najbardziej prawicowymi grupami, typu de Kerillis i Duff Coopera włącznie.

Że jest to pogląd słuszny, tego dowodzi najlepiej wrzask, jaki podnosi za każdym razem, kiedy takie porozumienie staje się aktualne, prasa osi. Włosi i Niemcy aż wyłażą ze skóry, by tylko powstrzymać króla angielskiego od hańby współpracy z carobójcami, z którymi zresztą sami handlują i chętnie handlowaliby więcej. A wraz z nimi podnoszą nie mniejszy wrzask ich zwolennicy w Anglii i Francji. Organy francuskich

„cagoulard‘ów“, którzy sprowadzali z Niemiec broń, mającą być użytą przeciw Francuzom, również są przeciw wszelkim paktom z Sowietami. Lady Nancy Astor, głowa Cliveden Set‘u zapomniała już, jak to kiedyś podobała się jej Moskwa — dziś straszak bolszewicki jest jej atutem w walce o nowe Monachium, o ratowanie Hitlera i Mussoliniego.

Zdaje się jednak, że wrzask ten ma znaczenie tylko opóźniające, ale nie przeszkodzi on ostatecznemu dojściu do porozumienia. Sądząc podług ostatnich depesz i wiadomości radiowych — pertraktacje przecież zbliżają się, zdaje się, do pozytywnego zakończenia.

Stanowisko Polski. Główny ośrodek naprężenia odsunął się w ostatnich dniach nieco od naszych granic. Zapowiadane na Hitler‘s Geburtstag niespodzianki gdańskie ograniczyły się do jeszcze jednej, zresztą, zdaniem objektywnych obserwatorów, niezbyt udanej parady hitlerowskich szturmowców gdańskich. Dzięki twardej postawie Rzeczypospolitej, dzięki czujnej straży jaką na jej granicach sprawuje żołnierz polski, dzięki postawie społeczeństwa, jednomyślnie odrzucającego wszelką myśl chociażby o jakichkolwiek, nawet najmniejszych ustępstwach wobec pogróżek czy sugestii, skądkolwiek by one pochodziły — prawa i granice Rzeczypospolitej wolne są na razie od bezpośredniego zagrożenia.

Mimo to — lekkomyślnością, wielką lekkomyślnością byłoby poleganie na tym, chwilowym spokoju. Słusznie czyni rząd Rzeczypospolitej, że ani na chwilę nie osłabia zarządzeń bezpieczeństwa, że utrzymuje w pełni wszystko, co zostało zrobione, by pozwolić państwu odpowiedzieć natychmiast, bez godziny zwłoki na jakikolwiek zamach na prawa lub całość Rzeczypospolitej. Dobrze jest, że rzesze ludowe demonstrują dziś swą gotowość obrony Ojczyzny, że w dniu pierwszego maja czerwone sztandary robotnicze demonstrować będą pod hasłem obrony Niepodległości, nierozłącznie związanym z walką o Polskę Ludową.

„Umiemy cenić wolność, bo pamiętamy niewolę. Cały lud polski bronić będzie każdej piędzi ziemi nie za zapłatę, nie za odznaczenia, ale z obowiązku. Jeśliby zaś do tego doszło, że nas napadnie nienawistny wróg — spotka się on ze zdecydowaną obroną, która zakończy się zwycięstwem“ — te słowa Wincentego Witosa, wypowiadające jasno stanowisko całego społeczeństwa, powinny pozostać wytyczną polityki polskiej w ciągu rozgrywek najbliższych miesięcy.

Emigranci o sobie

Tak bardzo zasłużony Instytut Gospodarstwa Społecznego wydał znowu dwa wielkie tomy dzieła o pierwszorzędnej doniosłości. Są to „Pamiętniki emigrantów“. Pod wielu względami przypominają one poprzednio wydane, rozgłośne „Pamiętniki bezrobotnych“ i „Pamiętniki chłopów“. Podobnie, jak i w tamtych księgach uderza w autobiografiach emigranckich wspaniała szczerość i bezpośredniość wypowiedzi, ich żywiołowość, ich absolutna prawdziwość. Można się zanurzyć w tej lekturze, jak w rwącym, kryształowo przezroczystym potoku, który darzy innymi zgoła wrażeniami, niż naskórkowe, przerafinowane emocje niektórych utworów współczesnej literatury pięknej.

Emigranci piszą od serca — i piszą w wszystkim*). O wszystkim, co ich kiedykolwiek głęboko zabolało lub uradowało, zdziwiło lub utwierdziło w przekonaniach, było krzywdą czy nagrodą, stratą czy zyskiem, klęską czy triumfem. Niektóre z tych żywotów zadziwiają swym bogactwem i bujnością. A wszystkie prawie pamiętniki tchną atmosferą rzetelnej, niefałszowanej mocy, hartu, który się wyrabia w nieprzerwanej walce o chleb codzienny, rzadziej: w walce o dostatek. Ręce, do pióra nieprzywykłe, piszą słowa twarde i nieustępliwe. Widać, że gdyby tak podać w wątpliwość prawdę tych słów, możnaby się spotkać z odpowiedzią i gniewną i groźną. „Autentyzm“ emigranckich wypowiedzi przedstawia się naprawdę imponująco.

Pamiętnikarzy, osiadłych we Francji, jest 35. Pewien robotnik i zarazem działacz oświatowy nadesłał swój pamiętnik z Belgii. Inny znów robotnik-legionista skreślił autobiografię w Italii, gdzie żyje obecnie. Czterech robotników i jeden mechanik pisali swe wspomnienia w Argentynie. 20 wychodźców do Brazylii przysłało również odpowiedzi na konkurs pamiętnikarski. Tak samo pewien rolnik z Paragwaju i brukarz z Urugwaju. Wśród pamiętnikarzy z Francji znajduje się 17 górników i 1 żona górnika, reszta to robotnicy fabryczni lub rolni oraz 1 stolarz, 1 giser, 1 szewc i 2 samodzielnych rolników. Rolnikami przeważnie są pamiętnikarze brazylijscy; jest między nimi jednak dwu nauczycieli, kowal oraz robotnik. Tak, w najkrótszym przedstawieniu, wygląda skład socjalny autorów „Pamiętników“.

Jeden motyw powtarza się w nich stale nieomal. To poczucie spólnoty z macierzą, często: nostalgiczna tęsknota za krajem. Marzenie o powrocie do Polski na starość byłoby najprawdopodobniej powszechne, gdyby nie fakt, że warunki materialne z góry czynią fikcyjną myśl o realizacji podobnych zamierzeń. Emigranci jednak nie tylko tęsknią, ale i zajmują się żywo sprawami swego kraju. Wyznają szczerze, co ich smuci, a co cieszy z pośród polskich wydarzeń i rzeczy. „...Przeważnie ucieszyło mnie to com się dowiedział o tej wielkiej i mądrej manifestacji chłopów z Przeworskiego powiatu moich braci w Nowosielcach, daj Boże takich więcej, bo już dusza raduje się, że może już dla nas nasze słońce wschodzi“. „Bo ci gorsi od Targowiczan, którzy już raz Polskę sprzedali a chłop ją wykupił krwią swoją, teraz znowu tego chłopa wyniszczyli tak aby nie był zdolny stawić czoło Teutońskiej hydrze, która już swe pazury wyciąga ku Gdańsku...“ (str. 62). Tak pisze jeden z emigrantów we Francji.

Bardzo ciekawe są wypowiedzi emigrantów, żyjących we Francji, na tematy społeczne i polityczne. „Francuzi... wymawiają nam, że my są bracia znienawidzonego na całym świecie Hitlera. W 1935 r. gdy wróciłem do domu Francja wydala masowo emigranta polskiego,

*) Strony cytowane z „P. E. Francja“ — bez litery, a z „P. E. Ameryka Południowa“ — z literą „A“.

wszędzie już mówiono, idźcie do Hitlera... Najwięcej bolączek miał tu emigrant za rządów Lavala. Dopiero gdy front ludowy w czerwcu 1936 r. do władzy przyszedł, to się wszystko na lepsze poprawiło, wydalanie ustało, robotnicy urlopy dostali tak samo dokładki... wielka większość narodu do rządu serdecznie usposobiona, nie wolno tak szkalować emigranta jak dawniej...“ (str. 80). Tak pisze górnik, inwalida pracy, a inny emigrant, robotnik fabryczny, przyświadcza prawdzie jego słów: „Robotnicy mają zaufanie do Rządu frontu ludowego... Stosunek obecnego reżimu do emigracji jest dobry i daje pewne gwarancje stałego pobytu we Francji, znosi takie sprawy, że nie ma prawa żaden komisarz dawać ekspulsję emigrantowi a tak było do tego czasu“.

Wyrazy uznania dla Rządu Frontu Ludowego spotyka się w „Pamiętnikach emigrantów“ z Francji bardzo często. Podobnie, jak uwagi o wpływie polsko-niemieckiego paktu o nieagresji na stosunek społeczeństwa i władz francuskich do naszej emigracji. Robotnik rolny z kieleckiego, potem minier, wreszcie murarz, mieszkający w departamencie Drôme opowiada: „Władze francuskie a właściwie podrzędniejsze urzędy jak prefektury i urzędy gminne były dobrze usposobione dla Polaków dokąd Polska nie zawarła paktu przyjaźni z Niemcami. Jak tylko ten pakt został zawarty zaraz zmieniło się na gorsze i zaraz odczuliśmy to na własnej skórze i to nie tylko urzędy ale i pewne sfery cywilne dały poznać, że wobec takiego paktu należy wychodźctwo potępić, chociaż to wychodźctwo najmniej zawiniło. Ileż to razy słyszałem kpiące uwagi, zwracane do mnie jak że gdy u siebie chleba nie mamy, to się pchamy do Francji a pakty przyjaźni to zawieramy z ich wrogami. Raz mój gospodarz powiedział, że gdy nam potrzeba pieniędzy to idziemy je pożyczać we Francji, a nie u swoich przyjaciół Niemców i dużo podobnych uwag słyszałem zawsze od wielu ludzi. Nie było mi przyjemnie słuchać podobnych uwag, ale jeszcze gorsze to, że niechęć odbiła się na skórze wychodźcy“ (str. 509).

Z dalekiej Brazylii pisze rolnik polski, człowiek blisko 70-letni, demokrata i antyklerykał: „...bardzo nam na obczyźnie Polakom dziwno dlaczego Polska zamieniła tradycyjną przyjaźń Polsko-Francuską na krzyżacko jezuicką, prawda, każdy robi dla siebie lepiej, ale nie tak zachłanny na zaborczość, o tym wie cały świat, niech każdy Polak powie, od kogo więcej przyjacielskiej sympatii doznał, weźmy tylko Rio Grande przy budowie portu albo w fabrykach, gdzie mieli wpływ Francuzi, Polak był stawiany na pierwszym stopniu, jak robotnik tak i rzemieślnik a Krzyżak domagał się, aby Polaka uważano za najpodlejszy materiał...“ (A., str. 384).

Jeśli chodzi o momenty światopoglądowe, to zastanawiają w tych „Pamiętnikach“ bardzo częste wycieczki antyklerykalne. Mają one zazwyczaj materialne podłoże: „lud“ zrywa z wielu dawnymi zwyczajami (jak np. całowanie księży w ręce). Jeden z emigrantów we Francji pisze: „Całe wychodźctwo można podzielić następująco: 25 procent bezwyznaniowców, 30 procent obojętnych tylko, a 45 procent wierzących. Podobne obliczenie zrobiłem na swoim otoczeniu i na trzech koloniach polskich o większym skupieniu. Kto ponosi winę za podobny stan rzeczy to powiedzą poniższe fakty. Zaznaczę najpierw, że każdy Polak wyjeżdżając z Polski był głęboko wierzącym. Skąd się więc wzięło tyle obojętnych niech powiedzą ci, którzy są winni... Każdy nowoprzybyły ksiądz z Polski ubogim jest jak ta przysłowiowa mysz kościelna. W pierwszych chwilach swego pobytu we Francji chodzi pieszo względnie jeździ na rowerze. Po paru miesiącach już jeździ na motocyklu a po roku, dwu lub trzech najdalej już jeździ sobie autem...“. Dalej przeciwstawia autor skromność wymagań księży francuskich, finansowej zachłanności księży polskich: „...za najmniejszą posługę,którą ksiądz francuski darmo zrobi, ksiądz polski bierze pieniądze“. (str. 541). Itd. Utyskiwania na rolę księży wśród wychodźctwa polskiego powtarzają się także w pamiętnikach południowoamerykańskich. Odzwierciedliły się w nich m. in. tarcia pomiędzy nauczycielstwem a klerem emigracyjnym. Nie wszystkie więc bolączki krajowe są nieznane naszym wychodźcom.

„Pamiętniki Emigrantów“ stanowią istną kopalnię tematów dla socjologa czy publicysty. Umyślnie poruszyliśmy tylko niektóre zagadnienia, jakie nasuwa lektura tych niepowszednich dokumentów. W ten sposób staraliśmy się oświetlić duszę wychodźcy z określonego punktu widzenia. Nie dotknęliśmy wcale podstawowej kwestii warunków, w jakich emigrant polski pracuje i walczy. Nie usiłowaliśmy odtworzyć jego zmagań z podzwrotnikową przyrodą lub z dzikimi „bugrami“ tj. czerwonoskórymi. Różne fragmenty tych zmagań proszą się wręcz o pióro Londona czy Coopera (jak słusznie zaznacza w przedmowie p. Stanisław Stempowski). Pominęliśmy też mniej doniosłe, ale niezmiernie charakterystyczne sprawy, jak np. stosunek do kobiety, dążenia i ambicje emigrantów, ich najprzeróżniejsze smutki, ich krzepki, zdrowy humor. Wszystkiego tego bowiem nie mogliśmy zmieścić w szczupłych ramkach jednego artykułu. A mamy pewność, że „Pamiętniki emigrantów“ zostaną wszechstronnie omówione przez całą prasę polską.

ZYGMUNT JAROSZ

Wrogowie ludu w Europie nie przestali działać solidarnie; co chwila czynami stwierdzają tę solidarność. Znając lepiej, niż ktokolwiek swoje wspólne niebezpieczeństwa, teraz bardziej niż kiedykolwiek trzymają się z sobą. Taktyka ich polega na używaniu wszystkich swoich sił rządowych przeciw każdej z narodowości wyzwalających się z osobna i na zgniataniu w ten sposób jednych po drugich i jednych przez drugie.

Adam Mickiewicz.

Wolność! Czy tam się ona ostoi, gdzie od upodobania i łaski jednych zależeć będzie sposób utrzymania bytu wolność przebywania na ziemi całej reszty towarzystwa ludzkiego?

Stanisław Worcell

„EPOKA“ nie jest pismem przypadkowym ani koniunkturalnym. „EPOKA“ kontynuuje tradycję, zapoczątkowaną przez wspaniałe ogniska kultury i myśli polskiej, postępu i wolności — przez „GŁOS“, „PRAWDĘ“, „OGNIWO“, „SPOŁECZEŃSTWO“.

„EPOKA“ pod inną dziś nazwą, ale pod tym samym sztandarem trwa na szańcu DEMOKRACJI I NIEPODLEGŁOŚCI.

Nawalili...

Gdy wojska Wielkiego Protektora „radośnie witane“ wkroczyły do Pragi, nowa władza rozlepiła na murach prastarej stolicy czeskiej proklamację do narodu, ogłaszając, że na usilne prośby patriotów czeskich, Hachy i Chvalkowskiego, Adolf Hitler przyjął łaskawie opiekę nad tym ludem, którego losy od tysiąca lat związane były z Rzeszą.

Odezwa wydana była w dwu językach: czeskim i niemieckim. Aliści — jak doniósł korespondent „Kuriera Polskiego“ — zaszły widocznie w centrali rozdzielczej jakieś niedokładności, bo w kilku miejscach rozlepiono afisze z tekstem niemiecko - chorwackim i niemiecko - polskim, które oczywiście po dostrzeżeniu omyłki co rychlej, cichaczem pozrywano.

Niewątpliwie, personel dra Goebbelsa, który widocznie na zapas redaguje odezwy do najrozmaitszych narodów, figurujących na długiej liście krajów przeznaczonych do „wyzwolenia“ przez Trzecią Rzeszę — personel gruntownie wykształcony w zagadnieniach „geopolityki“ dobrze zna języki słowiańskie i na pewno potrafi odróżnić czeski od polskiego czy chorwackiego. Najlepszy dowód, że te odezwy pisze. O! ludzie z Ministerstwa Propagandy są wszechstronnie wykształceni! Żaden z nich nie popełniłby takiej gaffy, żeby do Czechów przemawiać po polsku czy po chorwacku i przed czasem odsłaniać dalsze plany Hitlera. Tu zawiniły ręce niefachowe.

Z tego przykrego wpadunku płynie nauka: funkcyj tak wysoce politycznych, jak rozlepianie afiszów na terytoriach „wyzwolonych“, nie wolno powierzać feldweblom czy zugsführerom Reichswehry ani wywiadowcom z Gestapo. Należy do tych odpowiedzialnych czynności delegować co najmniej referendarzy Ministerstwa Propagandy, albo wykształconych tubylców z pod znaku „narodowej“ Targowicy.

DEMOKRACJA POLSKA PRZEZ WIEK CAŁY WALCZYŁA „ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ“. DZIŚ FASZYZM WALCZY „ZA WASZĄ I NASZĄ NIEWOLĘ“.

Z DNIA NA DZIEŃ

POD ZNAKIEM OBRONY NARODOWEJ

Polska stoi pod znakiem obrony narodowej. Polegając przede wszystkim na własnej sile i determinacji, niedostępnej jakimkolwiek podszeptom kapitulanckim, społeczeństwo nasze rozumie doskonale wagę zacieśnienia węzłów współpracy z wszystkimi państwami przeciwstawiającymi się pangermańskiej agresji. I tego opinia polska oczekuje od kierownictwa polskiej poiltyki zagranicznej. Dlatego cała niezależna prasa polska bez różnicy kierunku akcentuje w tej chwili konieczność włączenia się Polski w powstający na świecie blok obrony i pokoju. W ostatnich zeszytach „Epoki“ daliśmy kilkakrotnie wyraz tym pragnieniom społeczeństwa, które wbrew przeciwnym sugestiom widzi już w całej okazałości bankructwo koncepcji t. zw. bilateralizmu (paktów dwustronnych) i wypowiada się za jak najszerzej skonstruowanym systemem bezpieczeństwa zbiorowego. Identyczny pogląd znajdujemy w piśmie, tak różniącym się od nas ideowo, jak krakowski „Głos Narodu“, który pisał niedawno:

„Gdyby system paktów dwustronnych porzucono w roku 1937, nie byłoby Anschlussu ani rozbioru Czechosłowacji ani zaboru Albanii! Pouczeni doświadczeniem musimy teraz doprowadzić do skutku plan zbiorowego zabezpieczenia pokoju, bo tylko ten plan może wstrzymać dalsze zabory i rozbiory w Europie. Pakty dwustronne schowajmy do lamusa! Sens ma tylko idea wielkiego bloku!“

DUCH ZJEDNOCZENIA...

Koncentrując całą uwagę na zagadnieniu obrony i jej najskuteczniejszych metod, społeczeństwo nie zapomina rzecz jasna, o najważniejszym bodaj i najistotniejszym problemie, którego właściwe rozwiązanie decyduje przede wszystkim o wzmocnieniu naszej siły obronnej, o powodzeniu zarówno na terenie polityki zagranicznej jak w dziedzinie akcji dozbrojeniowej, jak wreszcie na polu wzmagania moralnego potencjału obrony narodowej. Jest to problem zjednoczenia. Patriotyczne zjednoczenie wszystkich, świadomych swego obowiązku, obywateli Rzeczypospolitej pod sztandarem obrony niepodległości dokonało się żywiołowo, bez rozkazu i nacisku, w głębokim poczuciu odpowiedzialności za losy ojczyzny. Tego poczucia nie zastąpi żaden rozkaz żadnego sztabu politycznego ani ośrodka dyspozycyjnego, żaden protektorat nieuznanych przez społeczeństwo autorytetów.

I dlatego proces zjednoczenia narodu nie dokonał się pod monopartyjnym sztandarem, pod który gorączkowo i natrętnie zaganiano i zagania się ciągle społeczeństwo — w złudnej wierze, że patriotyczny poryw mas uda się zdyskontować na korzyść jednej partii, zwłaszcza tak w kraju popularnej, jak nasza monopartia. Na łamach „Robotnika“ red. Niedziałkowski przytoczył niedawno dosłowny tekst odezwy, wydanej przez Ozon w Zamościu, gdzie powiedziano wprost, że kto nie wstąpi teraz do Ozonu, ten nie jest Polakiem! Takim językiem przemawia stronnictwo, które rości sobie pretensje do przewodzenia w narodzie — i to w chwili, gdy wszyscy obywatele Rzeczypospolitej z zapałem biorą na siebie wielki wysiłek, związany z Pożyczką Obrony Przeciwlotniczej, gdy wszystkie stronnictwa i odłamy polityczne, reprezentujące naprawdę przytłaczającą większość narodu, cały swój rzeczywisty wpływ i rzeczywisty autorytet rzuciły na szalę jedności i obrony!

Skoro rzeczywistość rozwiała sny o monopolu i przekreśliła totalistyczne pomysły, próbuje się przynajmniej uratować sztuczny prymat przez nalepianie swojej partyjnej etykietki na ogólno-narodowe dzieło obrony. To osobliwe postępowanie, tak sprzeczne z duchem prawdziwego zjednoczenia, cała niezależna opinia polska ocenia zupełnie jednolicie. Tak było np. po podpisaniu Pożyczki Obrony, gdy Ozon rozlepił ogromne afisze, wzywające w swoim imieniu do poparcia pożyczki. I jakkolwiek obok Ozonu w skład Komitetu pożyczki wchodzi jeszcze sześć

stronnictw, żadne nie **wyrwało się z partyjnym** afiszem, choć niewątpliwie z racji swych wpływów w społeczeństwie nie jedno z nich mogło liczyć na oddźwięk znacznie żywszy, niż OZN. Ten postępek Ozonu katolicko-demokratyczna „Polonia“ określiła jako „wybryk, który z pewnością pożytku wspólnej sprawie nie przynosi“, bo — jak czytaliśmy w tym organie — „jest rzeczą w wysokim stopniu niewłaściwą, by jakaś zbankrutowana i niepopularna organizacja uzurpowała sobie monopol patriotyzmu i by w sprawach obchodzących wszystkich obywateli, wynosiła siebie do rzędu czy roli jakiegoś czynnika nadrzędnego powołanego do opiekowania się losami Państwa i do udzielania obywatelom mentorskich pouczeń co do ich patriotycznych obowiązków“.

Głos patriotyzmu i odpowiedzialności

Jeżeli mogą się zdarzać fakty tak pożałowania godne i tak rażąco sprzeczne z duchem zjednoczenia patriotycznego, pochodzi to niewątpliwie stąd, że proces zjednoczenia niestety nie znalazł dotąd odpowiedniego wyrazu w istotnych przemianach wewnętrzno-politycznych, które od dawna są pragnieniem całego społeczeństwa, a ostatnio raz jeszcze wyrażone zostały w pierwszomajowej odezwie Polskiej Partii Socjalistycznej. Stwierdzono tam że

„Polska... musi odwołać się przede wszystkim **do własnych sił, które tkwią w masach ludowych.** Te masy muszą być powołane do jak najszerszego udziału w życiu państwowym, a w pierwszym rzędzie muszą jak najrychlej uzyskać prawo do wpływu na sprawy państwowe, a tym samym do współodpowiedzialności bezpośredniej za bezpieczeństwo i siłę obronną Państwa. **Lud pracujący żywi, utrzymuje, broni i bronić będzie w każdej potrzebie do ostatniego tchu Wolności, Narodu i Państwa.** Lud polski złożył dość dowodów swego bohaterstwa w walce o Niepodległość, którą tak krwawo wydarł z przemocy zaborców. Lud polski ma zatym wszelkie prawo być w Polsce gospodarzem“.

I dlatego wyrażając stanowisko całego obozu demokratycznego, PPS stwierdza, że **„drogę do istotnej potęgi Rzeczypospolitej muszą wyznaczyć szerokie swobody demokratyczne, zmiana prawa wyborczego do parlamentu“.**

Rzeczywistość i mit

Takim, prawdziwie patriotycznym a przy tym jedynie konkretnym i realnym, językiem zjednoczenia przemawia wielki ruch masowy, którego nikt nie „powoływał do życia“, któremu nikt nie udzielał prymatu w narodzie ani monopolu na odpowiedzialność za losy ojczyzny. I dlatego hasła, rzucone w odezwie PPS, znaczeniem swym wybiegają daleko poza ramy ruchu robotniczego, a nabierają wagi ogólno-narodowej i ogólno-państwowej. Hasła te wskazują rzeczywistą drogę zjednoczenia, formułują platformę obrony, dają jedyną trwałą gwarancję niepodległości i integralności Rzeczypospolitej. W przeciwieństwie do nacechowanych partyjnym ekskluzywizmem totalniackich enuncjacyj, dzielących a nie jednoczących społeczeństwo, wielki ruch demokratyczny ukazuje realną i prostą drogę normalizacji naszego życia politycznego, drogę wyjścia z impasu — najpilniejszą konieczność chwili, najoczywistszy nakaz patriotyzmu. Nie na rozkaz i nie pod protektoratem, ale świadomym, odpowiedzialnym wysiłkiem ludu, prawowitego tej ziemi gospodarza, przygotuje się i dokona dzieło obrony.

I trudno doprawdy przypuścić, żeby po ostatnich smutnych doświadczeniach z totalizmem i reżimem monopartyjnym, który w kilku krajach zniweczył siłę obronną społeczeństwa, a gdzie niegdzie okazał się wprost ośrodkiem kapitulacji, mogły jeszcze trwać w Polsce złudzenia, że właśnie u nas system antydemokratyczny, odpychający masy od udziału w życiu państwowym, jest najdoskonalszym narzędziem wzmożenia potencjału obronnego, skupienia wszystkich obywateli dla zbiorowego czynu patriotycznego. Jest to jeden z mitów, których tyle rozwiało się w ostatnich czasach w zetknięciu z twardą rzeczywistością. Mit totalizmu, mit monopartyjnego komenderowania społeczeństwem, zrodzony w zatrutej i trującej atmosferze faszyzmu, uniemożliwia do tej pory wyciągnięcie w Polsce realnych i nieuchronnych konsekwencyj z faktu żywiołowego zjednoczenia narodu.

Ten mit uporczywie podtrzymywany przez pewne, osamotnione w narodzie, ośrodki polityczne, kazał im w ostatnich latach z iście muzułmańskim fatalizmem przyglądać się wzrastającemu na naszej zachodniej granicy niebezpieczeństwu, a dziś, gdy to niebezpieczeństwo stało się groźną rzeczywistością, z tym samym fatalizmem każe im trzymać się kurczowo form politycznych nieodpowiadających potrzebom chwili. Na szczęście, zupełnie inna jest postawa społeczeństwa.

KONIEC MITU.

Postawa społeczeństwa polskiego świadczy, że mimo wielkich sukcesów Trzeciej Rzeszy, nie ulegliśmy żadnemu fatalizmowi, który w ekspansji wszechniemieckiej każe widzieć zjawisko nieuchronne, realizację jakiejś mistycznej konieczności, łamiącej wszystkie przeszkody na drodze zwycięskiego, odwiecznego Drang nach Osten; konieczności, przeciw której wszelki opór jest beznadziejny. Fatalistyczna wiara w niepokonalny „dynamizm“ Trzeciej Rzeszy, krzewiona była w ciągu pięciu lat przez hitlerowców i hitlerochwalców we wszystkich krajach, zwłaszcza sąsiadujących z Niemcami. W niektórych ośrodkach zachod-

nio-europejskich widocznie w to uwierzono, skoro zasadę „niesprzeciwiania się złu“ uznano za najświetniejszy wykwit mądrości politycznej, ba! za cnotę pacyfistyczną.

Demokracja polska i europejska twierdziła zawsze, że zjednoczony i stanowczy opór mógł i może jeszcze dziś powstrzymać zaborczy rozpęd hitleryzmu. Sukcesy Trzeciej Rzeszy nie zrodziły się bowiem z „dynamicznej“ prężności narodu walczącego o swą „przestrzeń życiową“, jak to prorocy hitlerowscy wmawiają Niemcom i innym ludom, lecz stąd, że zaborcza polityka Berlina nie tylko nie natrafiała dotąd na opór, lecz znajdowała gorliwych pomocników w różnych, najbardziej właśnie przez niemiecki imperializm zagrożonych, państwach europejskich.

Nie czas jeszcze na pisanie historii ostatnich lat. Ale wiadomo już dobrze, czyją zasługą jest, że Hitler mógł dotąd triumfalnie kroczyć od sukcesu do sukcesu, wiadomo, kto sabotował i torpedował każdą próbę zorganizowania oporu, kto oddawał Niemcom pozycję za pozycją, kto torował imperializmowi niemieckiemu drogę na wschód i na zachód, nad Dunaj i nad Ebro, nad Morze Czarne i nad zatokę biskajską. Nie, to nie fatum i nie mistyczny duch dziejów doprowadził do stworzenia Mitteleuropy i ujarzmienia kilku niepodległych dotąd narodów! Całkowitą odpowiedzialność za obecny stan rzeczy ponoszą wszyscy jawni i ukryci pomocnicy hitleryzmu w różnych krajach, wszyscy bohaterowie kapitulacji, wodzowie międzynarodówki targowickiej, czarnogiełdziarze polityczni, komiwojażerowie i maklerzy berlińskiego M. S. Z.

Wina leży po stronie tych, którzy zniweczyli wolność, którzy rozbroili politycznie własne narody, zamknęli usta niezależnej opinii publicznej, uśpili czujność społeczeństw, zaszczepili im jad hitleryzmu, narzucili im ustroje totalne. Tu nie działało żelazne prawo fatalizmu, lecz wytężona, zorganizowana akcja ośrodków faszystowskich i antydemokratycznych. Na tym polega „tajemnica“ sukcesów Trzeciej Rzeszy.

I nikt w Europie, a także w Polsce, nie da się już nabrać na fatalizmy, dynamizmy, mistycyzmy, przed którymi nie ma ponoć obrony. Właśnie w chwili największych pozornie zwycięstw hitleryzmu społeczeństwa przejrzały. Zrozumiały, że brunatna potęga nie jest tak niezwyciężona, jak głoszą jej wielbiciele; że zorganizowany, świadomy opór ludów może osadzić ją w miejscu i odrzucić ją wstecz. Przekonały się też społeczeństwa, że totalizm we wszystkich postaciach toruje drogę niemieckiemu zaborowi, że hurra-nacjonalistyczna frazeologia i antysemicka demagogia poszczególnych, krajowych faszyzmów okazała się narzędziem jednego, niemieckiego imperializmu.

Ponura robota

Kampania antysemicka, która przycichła bezpośrednio po 15 marca, już w pierwszych dniach bieżącego miesiąca podniosła głowę i rozwija się w najlepsze ku niewątpliwej uciesze wrogów Polski, posługujących się szczuciem przeciwżydowskim jako narzędziem swej zaborczej, wojennej polityki.

Niepokojącym objawem tej ponurej roboty jest ohydna napaść młodego wiekiem a już osławionego Jerzego Pietrkiewicza na kilku poetów polskich pochodzenia żydowskiego: Wittlina, Tuwima, Słonimskiego i innych. Napaść ta, zamieszczona w faszystowskim tygodniku „Jutro Pracy“ i przedrukowana w „Gońcu“, przewyższa wszystko, co dotąd spłynęło z bocznych ścieków wstecznictwa. Biorąc za pretekst ogłoszone przed **kilkunastu** laty pacyfistyczne utwory, Pietrkiewicz woła już nie o Berezę, lecz o... **szubienicę** dla wymienionych poetów! Wszelka merytoryczna polemika jest tutaj najzupełniej zbędna. Rozumowanie tej osobistości nie ma przecież żadnego znaczenia. Chodzi o coś innego. Występy takie mogą stać się niebezpieczną dywersją, której jedynym efektem byłoby odwrócenie uwagi społeczeństwa od zadań obrony i stworzenie podatnego gruntu pod defetystyczne, kapitulanckie intrygi, pod antypaństwowe machinacje przyczajonych agentur hitlerowskich.

To też, niezależnie od swego stosunku do napadniętych poetów, każdy odpowiedzialny obywatel Rzeczypospolitej jak najostrzej potępi wybryk „Jutra Pracy“ i „Gońca“, które zamieściły tę potworność. Tym bardziej musi przemówić demokracja polska. Idzie o zdrowie moralne życia polskiego, o zachowanie naszej zwartej postawy, naszej woli i mocy obronnej.

Należy spodziewać się, że w sprawie tej zabierze też głos Związek Zawodowy Literatów, organizacja powołana do strzeżenia dobrych obyczajów na terenie literackim i do obrony twórczości literackiej przed zamachami na jej niezależność.

STRONNICTWO DEMOKRATYCZNE.

Dnia 16 bm. odbył się w Warszawie ogólno-polski zjazd założycielski Stronnictwa Demokratycznego. Zjazd wybrał władze naczelne stronnictwa z prof. Michałowiczem jako przewodniczącym Zarządu Głównego i drem Kwaśniewskim jako przewodniczącym Rady Naczelnej. Przyjęta przez Zjazd rezolucja formułuje cele stronnictwa w myśl ideologii niepodległościowo - demokratycznej:

„Stronnictwo Demokratyczne, podejmując najlepsze tradycje dążeń wolnościowych i demokratycznych, od insurekcji Kościuszkowskiej poprzez działalność Towarzystwa Demokratycznego, aż do czasów ostatnich — przystępuje do pracy nad ulepszeniem budowy i wzmocnieniem państwa polskiego w oparciu o najtrwalsze podstawy życia publicznego:

wolność obywatelska, sprawiedliwość społeczna, uczciwość w stosunku do zobowiązań wewnętrznych i międzynarodowych oraz obronność wobec każdego ataku na niepodległy byt państwowy“.

Freudyzm jako światopogląd

„Wiara w to, że wiedza składa się z samych ściśle udowodnionych tez naukowych, jest błędna. Równie błędne jest żądanie tego od niej“. Zygmunt Freud.

Dopiero teraz Redakcja „Epoki“ udzieliła mi miejsca na odpowiedź p. Geppertowi w sprawie freudyzmu. Nic dziwnego. Rzeczywistość dzisiejsza, aktualność polityczna, wysuwa się w tej chwili na czoło wszystkich spraw ludzkich — i jej też należy się pierwszeństwo przed zagadnieniami, bardzo nawet istotnymi, ale nie tak bezpośrednio palącymi. Skoro jednak sprawa ta poruszona już została na tych łamach obszerniej w artykule M. Gepperta („Epoka“, nr. 6 z dnia 25.II.), nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do niej i zająć nią tych czytelników, których te rzeczy interesują.

Przede wszystkim więc pragnę zwrócić uwagę, że w artykule moim celowo nie użyłem terminu „psychoanaliza“ — ale napisałem właśnie „freudyzm“. Dlaczego? Bo w rozważaniach literackich, a więc w znacznym stopniu ideologicznych, nie jest rzeczą istotną fachowo-lekarska strona tej nauki ,lecz jej sens światopoglądowy, poniekąd filozoficzny i moralny. A psychoanaliza jako światopogląd — to właśnie freudyzm.

Niestety znajomość freudyzmu jest w Polsce minimalna. Dzieł Zygmunta Freuda prawie nie ma w przekładach polskich — z nielicznymi wyjątkami. (Jest m. in. jego „Wstęp do psychoanalizy“ — rzecz wcale nie najważniejsza). Oryginalne, niemieckie wydanie pism Freuda w XII tomach jest bardzo drogie i przeciętny inteligent nie może sobie pozwolić na ich nabycie. Dlatego freudyzm zna się u nas przeważnie z trzeciej i czwartej ręki. I to zapewne wpłynęło na zadziwiająco szerokie rozpowszechnienie tej osobliwej nauki! A gruntowniejsza znajomość pism Freuda, które czyta się b. łatwo i z dużą przyjemnością, bo autor posiada niewątpliwy talent literacki i lekkość formy, zabezpieczyłaby wielu młodych starców i starych młodzieniaszków przed bezkrytyczną recepcją seksualnej mistyki wiedeńskiego profesora. Niezawodnie popularność swą zawdzięcza też freudyzm w znacznym stopniu bezmyślnym, ciemnogrodzkim atakom ze strony kołtuństwa, nieugiętej postawie samego Freuda, który z odwagą zasługującą na prawdziwy szacunek w najtrudniejszych warunkach bronił swej nauki, wreszcie losowi, jakiemu uległ 90-letni starzec po Anschlussie Austrii. Oburzenie całego cywilizowanego świata wywołane potraktowaniem Freuda przez obecnych władców Austrii i sympatia, którą dzięki temu wzbudza osoba sędziwego profesora u wszystkich uczciwych i miłujących wolność ludzi, nie może jednak w żadnym wypadku wpłynąć na naszą ocenę jego nauki, wedle naszego przekonania nierealistycznej, torującej drogę wszelkim irracjonalizmom i neo-mistycyzmom, a tym samym obiektywnie wstecznej.

Bo nauka Freuda ma trojaki aspekt.

Po pierwsze — jako psychiatria. Tu głos mają rzecz jasna tylko fachowcy, lekarze-specjaliści. Nikt więcej. Tylko oni mogą ocenić, czy i o ile freudowska psychiatria jest naukowo słuszna i w zastosowaniu skuteczna.

Po drugie — jest psychoanaliza pewnym systemem psychologii. Pragnie wyjaśnić źródła i istotę najbardziej podstawowych zjawisk psychicznych. W pewien sobie właściwy sposób tłumaczy nasze życie duchowe — nie tylko popędowe i emocjonalne, ale też (podkreślmy to!) intelektualne. Otóż psychologia tak blisko styka się z filozofią, tak bezpośrednio zatrąca chociażby o teorię poznania, że tu nie wolno nam rezygnować z kontrolowania poglądów Freuda na rzecz fachowców — gdyż znajdujemy się już na gruncie ideologicznym. Pogląd na życie duchowe człowieka, na jego pochodzenie i treść jest częścią, bardzo fundamentalną częścią światopoglądu, wchodzi zatem w skład t. zw. ideologii. Wystarczy np. wskazać na różnice między psychologią materialistyczną a idealistyczną, bergsonowską a „racjonalistyczną“, żeby pojąć zależność tych spraw od światopoglądu, t. zn. stanowiska filozoficzno-społecznego.

Po trzecie wreszcie — jest freudyzm jako uogólnienie psychoanalizy pewną filozofią kultury, historiozofią i socjologią, co postaramy się pokrótce wykazać. Ten trzeci aspekt nauki Freuda, pretendującej do wytłumaczenia i wykrycia najistotniejszych, głęboko ukrytych sprężyn życia społeczno-kulturalnego, każe nam odnieść się do freudyzmu jak do każdego innego „izmu“. Spróbujemy, w tych wąskich z konieczności ramach, podsumować osiągnięcia freudyzmu na tym właśnie polu, które czytelników demokratycznego pisma najbardziej przecież interesuje. Nie możemy się zgodzić na traktowanie freudyzmu — właśnie freudyzmu, nie psychoanalizy! — tak, jak należy traktować krystalografię, histologię czy morfologię roślin. Bo freudyzm jest światopoglądem czyli ideologią, która wyciska swe piętno na całej twórczości intelektualnej i artystycznej freudystów i wszystkich świadomie czy nieświadomie ulegających wpływom freudyzmu.

Kto spróbował zrozumieć naukę Freuda — bo nie dość studiować pisma Freuda na uniwersytecie, trzeba jeszcze znać je i rozumieć — ten spostrzegł, że jego psychologia ściśle wiąże się z jego światopoglądem, że warunkuje jego poglądy filozoficzno-społeczne. Jest podstawą jego metafizycznej historiozofii, podłożem jego etyki. Twierdzeniu, że freudyzm nie jest także systemem etycznym i filozofią kultury, przeczy bowiem wszystko, co Freud napisał w dziedzinie pozapsychiatrycznej i pozapsychologicznej — a jest tego bardzo dużo. Postępując od psychiatrii poprzez psychologię doszedł do tego, co powszechnie nazywa się socjologią. Stworzył całkowity i konsekwentny system idei, który wybiega daleko poza lekarską specjalność i usiłuje wyjaśnić całokształt życia ludzkiego.

Wybitnie „nowoczesny“ pogląd Freuda na rolę i zadania nauki w zastanawiający sposób zbiega się z innymi doktrynami, zrodzonymi na przełomie naszego wieku, ale szeroko rozpowszechnionymi dopiero w okresie powojennego chaosu. Panika i dezorientacja społeczno-polityczna, degrengolada ideowa i kulturalna

pewnych odłamów inteligencji w latach powojennych wyraziła się m. in. w ucieczce od realistycznego poglądu na rzeczywistość, od „racjonalizmu" i zaufania do nauki. Na dnie tkwił tu poprostu strach przed gwałtownie obnażoną rzeczywistością, z której nie widziano — czasem nie chciano widzieć! — wyjścia; przed którą usiłowano schować się strusim sposobem w złudnej nadziei, że sama rzeczywistość zniknie, gdy się tylko zasłoni oczy przed jej niemiłym widokiem. Skutki nie długo dały na siebie czekać: schowane w ciepły piasek głowy strusie zostały stamtąd brutalnie wyciągnięte i ukazała się im „nowa" rzeczywistość w całej swej przerażającej prawdzie. Strusia polityka zawiodła.

Jednym z jej przejawów była właśnie deprecjacja intelektu, pogarda dla „racjonalizmu", która znalazła swój wyraz m. in. także w poglądach Freuda. Na wstępie przytoczono już jako motto jedną z antynaukowych maksym wiedeńskiego uczonego, otwarcie kwestionującą wartość i pewność wszelkiego badania naukowego, jedynej drogi poznania i opanowania rzeczywistości. Freudowi jest to niepotrzebne, widzi w tym mistykę i zabobon. Podobne stanowisko zajął w pracy „Totem und Tabu" (zbiorowego wydania tom X), gdzie utrzymuje, że „ufność w potęgę ducha ludzkiego, który liczy się z prawami rzeczywistości, jest pozostałością pierwotnej wiary we Wszechmoc".

To jest filozoficzna, poznawcza podstawa freudyzmu. To tłumaczy wiele — bodajże wszystko. „Nowoczesna" filozofia antynaukowa (Bergson, Brzozowski itd.), filozofia zmodernizowanej reakcji, mimo wielkich różnic między koncepcjami poszczególnych jej przedstawicieli, zgodna jest w zaprzeczaniu wartości rozumu, w odrzucaniu „racjonalistycznej metafizyki", w zwalczaniu intelektualistycznych „przesądów" — a wszystko to służy do przemycania irracjonalnej, zakłamującej rzeczywistość, mistyki. Z tej antyracjonalistycznej filozofii przedfaszystowskiej zaczerpnął swe wrogie intelektualizmowi idee światopogląd faszyzmu. Freudyzm jest niewątpliwie jedną z takich doktryn przedfaszystowskich, teorią ucieczki przed rozumem, vademecum ludzi panicznie pierzchających przed rzeczywistością. Dlatego, choć zrodzony już przed wojną, szeroką popularność zdobył dopiero po wojnie, zwłaszcza w Austrii i Niemczech, w pewnych kołach inteligencji postępowej, która nie odnalazła właściwej drogi i utknęła w impasie.

Na takiej podstawie poznawczej rodzi się freudowska psychologia nieświadomego. W pracy „Die Traumdeutung" (tom II zbiorowego wydania) czytamy: „Nieświadomość należy, wedle trafnego określenia Lippsa, uznać za ogólne podłoże (Basis) życia psychicznego. Nieświadome jest obszerniejszym kręgiem, który zawiera w sobie ciaśniejszy krąg świadomego... Nieświadome stanowi **istotną rzeczywistość psychiczną,** której wewnętrzna natura jest nam równie nieznana jak rzeczywistość świata zewnętrznego i przez dane świadomości tak samo niedostatecznie nam komunikowana jak rzeczywistość świata zewnętrznego przez dane zmysłów".

Z tych słów każdy nieuprzedzony czytelnik pism Freuda wywnioskuje, że autor świadomie i odpowiedzialnie ogłasza nieświadomość jako zasadniczą treść rzeczywistości psychicznej, jako najistotniejszą sprężynę naszego życia duchowego. Freud na pewno nie zgodziłby się na taką obronę, która wbrew jego najwyraźniejszym intencjom, wbrew jego najgłębszemu, odważnie i otwarcie bronionemu, przekonaniu, chciałaby przeczyć tej fundamentalnej zasadzie jego psychologii. A na tej zasadzie wznosi się przecież cały gmach jego poglądów nie tylko w dziedzinie psychologii, ale też w sferze filozofii kultury i socjologii!

(c. d. n.) *MICHAŁ JORDAN*

Świadczył się Czerwiski Kahankiem

P. Czerwiski, to publicysta w dziale polityki zagranicznej młodokonserwatywnej „Polityki". Pisarz ten wsławił się niedawno artykułem, dowodzącym absolutnej, głębokiej słuszności polityki zagranicznej lat ostatnich, zakończonym jednak niezbyt fortunnie: mianowicie pod datą 25 marca, a więc w chwili, gdy ks. Tiso już był oddał się pod opiekę Berlina. P. Czerwiski urbi et orbi ogłaszał, że Słowaczyzna nie waży się wpaść pod wpływy berlińskie. Dalekowzroczność doprawdy zdumiewająca! Artykuł ów wywołał tyle nieporozumień, że redaktor działu zagranicznego „Polityki" musiał w następnym numerze ogłosić wyjaśnienie, iż odrzuca wszelkie ustępstwa wobec żądań niemieckich pod adresem Polski. Rzecz, bądź co bądź, ciekawa, że akurat „imperialista" i „nacjonalista" polski typu p. Bocheńskiego musi właśnie to wyjaśniać. Ale nie o to nam chodzi.

Ważniejszy jest problem inny: p. Czerwiski jest niepoprawny. Po jednej niefortunnej apoteozie wali odrazu drugą. Korzysta przy tym z pracy niejakiego p. Ferdynanda Kahanka, jak go nam przedstawia „aryjczyka" (styl zupełnie... norymberski!) i jednego z nielicznych publicystów czeskich, którzy zawsze dążyli do polepszenia stosunków pomiędzy obu naszymi krajami". Otóż na podstawie książki p. Kahanka p. Czerwiski „dowodził", że Benesz nie chciał w r. 1933 sojuszu wojskowego z Polską i że dlatego słusznym było cieszyć się z podboju Czechosłowacji przez Trzecią Rzeszę w r. 1938. Mniejsza i o to.

Ciekawe tylko kim właściwie jest świadek koronny p. Czerwiskiego. Spróbowaliśmy sprawę nieco wyjaśnić. Sprecyzujemy: p. Kahanek to prawa ręka p. Berana, zwolennik — od wielu lat — zbliżenia nie tyle z Polską, co z Trzecią Rzeszą! P. Kahanek to protektor Henleina z czasów, kiedy ten agent Trzeciej Rzeszy znajdował się — w demokratycznej jeszcze wówczas Czechosłowacji — w ciężkich opałach. P. Kahanek, to jeden z tych, co w czasie gorących narad na Hradzie po werdykcie monachijskim oświadczył wręcz, że na wypadek oporu przejdzie po prostu do obozu wroga. P. Kahanek to, później, redaktor naczelny hachowskiego „Venkovu", głównego organu totalizatorów czeskich, czeskiej Targowicy. P. Kahanek — to dziś, za, wizowanym przez okupacyjne władze „protektoratu" paszportem, korespondent warszawski tego samego „Venkovu", opłacany przez to pismo oczywiście również za zgodą władz okupacyjnych niemieckich.

Doprawdy, czy nie lepiej byłoby cytować wprost — Goebbelsa? Zawsze wolimy usłyszeć zdanie pana, niż lokaja. Ale może p. Czerwiskiemu wydawało się, że świadectwo ministra propagandy Trzeciej Rzeszy będzie nie dość przekonywujące dla polskiego czytelnika? W takim razie wyjaśniamy: pisze się Kahanek, a czyta się Goebbels.

Jeszcze o nowym realiźmie

Dyskutowanie na temat realizmu psychologicznego jako prądu płynącego mimo swej nazwy: realizm w sferze zjawisk niekonkretnych i choć odczuwanych, wymykających się jednak zawsze w dziedzinę abstrakcji, a nawet idąc za określeniem p. Jordana — psychologizowania, dyskutowanie takie nie byłoby nadal potrzebne. Psychikę człowieka można bowiem interpretować różnie. To, co dla jednego będzie tu prawdziwe, dla innego stanie się „bzdurną problematyką jaźniową". Zależy to wszystko od indywidualnej w każdym wypadku reakcji. Dyskusja jednak, rozpoczęta na łamach „Epoki" przez p. Jordana wybiegła przy końcu poza ramy obowiązujących w niej kryteriów jedynie artystycznych. P. Jordan bowiem stwierdził, że „nowy realizm to mistyfikacja fałszująca i deformująca rzeczywistość psychiczną na użytek tych, którzy zainteresowani są w deformowaniu wszelkiej rzeczywistości". Obojętne, jakich „tych" ma p. Jordan na myśli. Albowiem czy owi „ci" istnieliby ze swymi mętnymi kombinacjami czy nie, nowy realizm istniałby na pewno jako konieczny etap w ewolucji sztuki i naprzekór p. Jordanowi deformowałby rzeczywistość nadal. Chodzi więc o co innego. P. Jordan do takiego właśnie realizmu, pracującego na czyjś podejrzany użytek zaliczył i Szemplińską. To słusznie pisarkę oburzyło. P. Jordan zaś, który nawarzył zbytecznie kaszy. a nie mógł się już wycofać, zasłonił się żartobliwie tym, że i ja potraktowałem twórczość Szemplińskiej jako przykład nowego realizmu. Owszem byłem i jestem tego zdania. Nie powiedziałem jednak, że Szemplińska reprezentuje nowy realizm na czyjś użytek. P. Jordan z tego się nie wytłumaczył. P. Szemplińska zaś dotknięta w swym kompleksie „reakcyjnej krytyki" i „wrogów klasowych" główny atak w swej odpowiedzi skierowała na nich i na tym sprawa utknęła.

Pozwolę sobie więc w tym miejscu zawrócić na drogę innych kryteriów.

Nie ulega wątpliwości, że cała współczesna literatura jest terenem olbrzymiej ekspansji nowego realizmu. Objawia się on w sposobie ujęcia artystycznego, techniki, kompozycji, stylu, tematyki. Powstał jako najmocniejsza reakcja na romantyzm przeciwstawiając jego byronicznej pozie codzienność i zwyczajność życia. Po wojnie, wraz z przebudową podstaw ideowych i poglądów na prawa człowieka, wyrosła nowa rzeczywistość. W walce o jej przeniknięcie kształtował się nowy realizm. Mówię: nowy. Istniał on bowiem w swej starej klasycznej postaci już w epoce przedwojennej. Reprezentowali go wówczas Kraszewski, Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Reymont, Ignacy Dąbrowski. Znajdował pełny swój wyraz w takich dziełach jak: „Bez dogmatu", „Rodzina Połanieckich", „Śmierć", „Felka", „Matki". Otóż pewna część krytykł, m. in. Pomirowski słusznie uważa, że ten realizm miał 2 nurty: realizm psychologiczny wewnętrzny i realizm zewnętrzny. Podstawą ostatniego był fakt, w ogóle to, co istniało w świecie objektywnym, co mogła kontrolować nasza świadomość. Dla ilustracji przytoczę kilka przygodnie wziętych nazwisk: Sieroszewski, Choynowski, Makuszyński, Kossak-Szczucka, Parandowski, Ossendowski. Z młodszej generacji: Jerzy Bandrowski, D. Mostowicz, Worcell, S. Piasecki. Pisarze ci reprezentują typ realizmu inspirowanego z zewnątrz. Przeciwstawieniem tego realizmu jest realizm psychologiczny wewnętrzny. Materiałem twórczym tutaj nie był już fakt, a raczej przeżycia jednostki. Przykładem tego realizmu mogą być: Sienkiewicz (Bez dogmatu), Dąbrowski (Śmierć), A. Strug, Kaden-Bandrowski, Zofia Nałkowska. Życie wewnętrzne bohaterów u tych pisarzy, przedstawiane z dociekliwą analizą istnieje w związku z objektywną rzeczywistością. Psychika ich jest odbiciem ich epoki (Płoszowski, czy Rudnicki). Jest to więc typ realizmu wewnętrznego, nie wychodzącego jednak poza ramy świadomości, nie poszukującego jeszcze ani źródeł, ani motorów, poszczególnych przeżyć. Kształtujące się na nowo w latach powojennych życie polityczne, społeczne, ideowe, zepchnęło literaturę z jej ideologicznego stanowiska na manowce różnych kierunków, jak ,formizm dadaizm, futuryzm, ekspresjonizm. Rozpoczął się bój o nową formę i nową treść. Stary tradycyjny realizm psychologiczny pod wpływem badań Freuda, Adlera zyskał świeże źródła w nowo odkrytej dziedzinie podświadomości. Tak się narodził nowy realizm.

P. Jordan w swoim artykule p.t. „Realizm na serio" powiada, że te 2 postacie realizmu nie mają nic ze sobą wspólnego i neguje nowy realizm jako apoteozowanie „izolowanej i fikcyjnej jaźni". Taki pogląd wydaje się nawskroś błędny. Odpowiada on bowiem czyjemuś upartemu twierdzeniu, że np.: jedna ze ścian domu nie ma z nim nic wspólnego. Realizm to jest — pozwolę sobie tu użyć porównania — taki budynek, którego jedną ścianą jest realizm psychologiczny wewnętrzny, drugą — realizm zewnętrzny — trzecią realizm psychoanalityczny albo nowy realizm. Możemy patrzeć na tę lub inną ścianę budynku, mając za każdym razem inne wyobrażenie o domu. Nie znaczy to jednak, by np.: ściana frontowa, czy boczna nie stanowiły części całości. Realizm psychologiczny wewnętrzny w swej powojennej fazie tym różni się od starego, że o ile dawny malował przeżycia dziejące się w świadomości, o tyle nowy realizm zstępuje do źródeł owej świadomości, rozpatruje już nie skutki naszych doznań i uczuć, ale ich przyczyny, leżące w podświadomości. Pierwszy jest więc niejako obrazem powierzchni ducha, drugi — obrazem jego podziemi. Przedstawicielami tego kierunku są dziś Szemplińska, Kuncewiczowa, częściowo Dąbrowska, Nałkowska, Iwaszkiewicz. Wymieniłem kilka nazwisk najwybitniejszych. Fala bowiem tego prądu rozlała się już dziś szeroko w literaturze i sztuce nie tylko polskiej. Dziwnym więc jest, że ten prąd jest przedmiotem ciągłych ataków wielu krytyków nie chcących uznać podświadomości za nową rzeczywistość, obracających się ciągle jeszcze za wzorami tradycyjnego sienkiewiczowskiego i prusowskiego realizmu w ciasnym kręgu świadomości. P. Jordan woła: wszystko inne to fikcja i fałsz. „Prawdziwość (nowego realizmu) polega na rzekomo najwnikliwszym wejrzeniu w nasze wnętrze, w którym dzieją się rzeczy z nieprawdziwego zdarzenia". Jest to więc psychologia nierzeczywista. Cytując zaś zdanie p. H. Wierzbickiej, że „przeżycia wewnętrzne w powieściach tego rodzaju nie ukazują nam całego człowieka", — dodaje p. Jordan: a to znaczy nie ukazują nam w ogóle żywego człowieka, lecz fingują twory istniejące poza ludzkim bytem materialnym, twory, których życie psychiczne płynie sobie autonomicznym pozaobjektywnym nurtem, bio-

rącym początek w nierzeczywistym wnętrzu bohatera". Przypuśćmy, że tak. A czyż w takim razie jakikolwiek realizm psychologiczny jest prawdziwy? Każdy tylko sugeruje rzeczywistość i prawdę za pomocą mnóstwa fałszów i sztuczności. Rzecz prosta, że zarzut fikcji czy fałszu wobec takiej rzeczywistości jest równie nieistotny, jak nazwanie psychologii wkraczającej w dziedzinę podświadomości — nieprawdziwą. Zależy bowiem wszystko w obu wypadkach od indywidualnego odczucia. Psychologia nowego realizmu nie jest siłą rzeczy konkretna ale jest prawdziwa. Przedmiotem wywodów p. Jordana była i Szemplińska. Zwłaszcza chodziło o „Potrójny ślad". Przede wszystkim nie można mówić o tej powieści w oderwaniu od jej drugiej części p. t. Kochankowie Warszawy.

Dalej — p. Jordan dowodząc, że jest to psychika niezwiązana z objektywną rzeczywistością, ukazuje jako wzór Leona Płoszowskiego. To jest pomyłka. Jak bowiem Płoszowski był uosobieniem dekadentyzmu, tak Daria jest wyrazicielką swojej epoki. Temu chyba nikt nie zaprzeczy. A fakt ten obala przecież twierdzenie jakoby takie postacie jak Daria istniały poza objektywną rzeczywistością. Właśnie są jej wytworem. Wytworem jej warunków społecznych, obyczajowych, moralnych. Jak Ludwik jest produktem swego czasu i środowiska: bez charakteru, niechęć do pracy, tak Daria, to typ nowoczesnej kobiety występującej przeciw tradycji ograniczającej jej wolność. Czy można więc zastosować do Szemplińskiej powiedzenie o fingowaniu tworów istniejących poza ludzkim bytem materialnym? Mówiąc delikatnie: gruba przesada. Książka walcząca, w swym założeniu społeczna, jest literaturą jaźniującą? P. Wierzbicka powiada: w powieściach tego rodzaju nie ma w ogóle człowieka żywego. W odniesieniu do Darii to już nonsens. Bo czyż koniecznie wszystko, co wybiega poza świadomość to fikcja, fałsz, bzdura?

Czyż byłoby więc zrozumiałe dziwactwo i histeria Cudzoziemki, kobiety prawdziwej? W oświetleniu tradycyjnego realizmu psychologicznego — nie. Dzięki zaś metodzie nowego realizmu, który odkrywa na dnie jej duszy drzemiący od młodości uraz na tle zwichniętej kariery życiowej, wyjaśnia się cały jej charakter. Niezrozumiała byłaby w swym wiecznym rozgrymaszeniu i niezadowoleniu z życia Barbara Niechcicowa, gdyby nie ów, ukazany przez Dąbrowską w jednej krótkiej chwili życia jej bohaterki uraz erotyczny, któremu na imię: Toliboski. Podobnie dziwacznym byłby pesymizm życiowy, Ignasi, pchający ją aż do zabójstwa kochanego człowieka — („Dwa opowiadania" — Iwaszkiewicza). Podobnie niezrozumiałym pozornie wydałoby się postępowanie Justyny („Granica" — Nałkowskiej). Tego wszystkiego nie mieści już w sobie świadomość, a czy p. Jordan mimo to powiedziałby, że ci pisarze reprezentują fikcję, fałsz i bzdurę? Chyba nie. A przecież to jest właśnie nowy realizm. Jedyną może wadą powieści neorealistycznej jest to, że jej prawdę można odczuć jedynie indywidualnie. Ale czyż to znowu jest wadą? Kilkunastu artystów malujących ten sam pejzaż, namaluje go inaczej, czy jednak będziemy mogli któremukolwiek zarzucić, że jego obraz jest nieprawdziwy? Każdy jest subjektywnie prawdziwy. A że ten czy ów czytelnik, lub ten czy ów krytyk nie odnajdzie siebie w Darii lub Cudzoziemce i nie odczuje ich prawdy, czy to znaczy, że są to postacie fingowane? Bynajmniej. Zgodzę się z p. Jordanem, że wyrosła jak dziki chwast na polu nowego realizmu twórczość Schulza, Gombrowicza, Truchanowskiego czy Otwinowskiego, wkraczająca w dziedzinę fantastyki swą groteskową deformacją rzeczywistości, to rzeczywiście bzdurna bezwartościowa literatura. Nie ma ona jednak nic wspólnego z istotnymi założeniami prawdziwego nowego realizmu, który prze zwycięsko naprzód w całej literaturze i w ogóle w całej sztuce lat powojennych.

WŁADYSŁAW ROMANOWSKI

KOLUMNA ROZMAITOŚCI

CREDO P. BOCHEŃSKIEGO

Redaktor działu zagranicznego „Polityki", p. Bocheński uznał za potrzebne sformułować na nowo credo polityczne. Okazało się to niezbędnym wskutek wielkiego poruszenia, jakie wywołał zamieszczony w poprzednim zeszycie pisma artykuł p. Czerwiskiego. W artykule tym usiłowano dowieść, że wszystkie przesunięcia w obszarze środkowo-europejskim, dokonane w ciągu ostatnich kilku lat, leżały w interesie Polski i wyszły na korzyść Rzeczypospolitej...

P. Bocheński stwierdza przede wszystkim, że jest stanowczo przeciwny wszelkim ustępstwom Polski wobec żądań niemieckich. „Na wszelką próbę pomniejszenia terytorium Polski przez Niemcy możemy odpowiedzieć tylko zbrojnie" — stwierdza. Brawo!

P. Bocheński stwierdza następnie, że Polska powinna wykonać swe zobowiązania międzynarodowe, m. in. zobowiązania, sformułowane w traktatach o sojuszu polsko-francuskim. Brawo!

Ale teraz przychodzi ustęp decydujący. Cytujemy dosłownie: „O ile na Zachodzie Europy wybuchnie wojna **w taki sposób, iż Polska obowiązana będzie wystąpić w obronie Francji, t. zn. o ile Niemcy wypowiedzą wojnę Francji,** winniśmy w niej wziąć udział po stronie naszej sojuszniczki. **O ile jednak wojna wybuchnie w inny sposób, t. zn. właśnie Francja zostanie zmuszona do wypowiedzenia wojny Niemcom** — jak to np. mogło nastąpić w sprawie czeskiej— **wówczas Polska powinna zachować neutralność.** Jest to postulat, wypływający nie tylko z naszych zobowiązań prawnych, ale przede wszystkim z naszej **racji stanu**". Tako rzecze p. Bocheński.

Co oznacza to sformułowanie? Jest to poprostu propaganda wiarołomstwa. Jest to zapowiedź pod adresem Niemiec: możecie robić co chcecie na Zachodzie, byleście nie doręczyli formalnego wypowiedzenia wojny. Bo pamiętajmy, p. Bocheński mówi nie o napadzie Niemiec na Francję, mówi on wyraźnie „o ile Niemcy wypowiedzą Francji wojnę". Jeżeli będzie inaczej, jeśli właśnie Francja „zostanie **zmuszona** do wypowiedzenia wojny Niemcom", wtedy p. Bocheński umywa ręce. Ale które z mocarstw osi wypowiada dziś wojnę? Japonia wojuje w Chinach już kilka lat, a wojny dotąd nie wypowiedziała! Włochy zajęły Albanię ale poseł ich cały czas pozostał w Tiranie. Czyż więc zdaniem p. Bocheńskiego, np. najazd niemieckich „ochotników" na pograniczne prowincje francuskie, dokonany bez wypowiedzenia wojny, czy

takie samo zbombardowanie Paryża nie stanowiłoby dostatecznej przyczyny dla wejścia w życie zobowiązania sojuszniczego? Podług dosłownego tekstu tez p. Bocheńskiego powinniśmy w takim wypadku pozostać neutralnymi. Ale co powiedziałby p. Bocheński, gdyby analogicznie zachowała się Francja w podobnej sytuacji, też przecież możliwej? My określilibyśmy to wręcz jako złamanie umowy sojuszniczej. P. Bocheński chce, by sojusz polsko-francuski pozostał martwą literą. Tego samego chce p. von Ribbentrop.

Ewentualność tego typu, na szczęście, mniej jest aktualna dziś, niż wtedy, gdy p. Bocheński pisał swe tezy. Zawarte tymczasem porozumienia Polski z Francją i Anglią usuwają to wątpliwe kryterium jakim jest wypowiedzenie wojny, zastępując je kryterium o wiele prostszym: uznaniem własnym każdego rządu, że tym razem została naruszona jego suwerenność — i jego gotowością do uruchomienia w obronie swej niepodległości siły zbrojnej narodu. Rozważania p. Bocheńskiego byłyby nieaktualne, jeśli idzie o stronę prawną problemu.

Ale istnieje i strona druga: faktyczna. Przecież p. Bocheński głosi wyraźnie, że takiej polityki wymaga „nasza racja stanu". To znaczy: mimo wyraźnych zobowiązań naszej dyplomacji, pan Bocheński będzie dążył do realizacji takiej właśnie polityki. Dobrze wiedzieć. Warto zanotować, tak dla pamięci, że właśnie teraz p. Bocheński wysyła do Rumunii jako specjalnego wysłannika swego pisma p. Wasiutyńskiego, tego samego, który głosi pogląd, że klęska Niemiec hitlerowskich byłaby ciężkim zagrożeniem niepodległości Rzeczypospolitej.

Odpowiedzi redakcji

Panu M. J. H. w Rzeszowie: Za wyrazy pamięci i przyjaźni jesteśmy bardzo Panu wdzięczni. Numer wysłaliśmy.

Pani M. K. w Sieradzu: „Szkoły Wyższe", kwartalnik. Warszawa, ul. Smulikowskiego 4.

Panu S. G. w Gródku Jagiellońskim: Nie skorzystamy. Z braku czasu nie możemy się podjąć oceny Pana utworów.

Panu R. Z. w Radomiu: Dyskusja na te tematy jeszcze nie skończona. Ukażą się dwie zapowiedziane repliki. Jeżeli one wyczerpią istotę sporu, uwagi Pana będą wtedy zbyteczne. W przeciwnym razie, poprosimy Pana o opracowanie swego stanowiska.

Panu E. J. L. w Stryju: Nie jest jest to najważniejsze w osobliwej chwili obecnej ani czas na proponowane reformy. Zresztą te rzeczy wałkowały się przez czas dłuższy i ogół przyjaciół pisma uznał, że należy utrzymać dotychczasową szatę graficzną. Jako pilny czytelnik i niewątpliwy przyjaciel pisma zgodzi się Pan chyba chętnie, że o pożytku i wartości rozstrzyga jego duch i treść, a rzeczą podrzędną jest szerokość czy wysokość szpalty, albo figurki lub maski. Posterunek idei wymaga powagi, determinacji i odwagi moralnej, reszta to są dekoracje.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ ORGANIZUJE 2 TYGODN. DORAŹNE OBYWATELSKIE KURSY SANITARNE DLA KOBIET.

Wojna współczesna rozgrywa się w powietrzu, w warunkach całkowicie odmiennych od znanych nam dotychczas w historii. Toczy się ona równocześnie w całym kraju, a nie wyłącznie na określonych liniach frontu.

Każdy obywatel, nie wyłączając kobiet i dzieci staje się w chwili wojny żołnierzem karnym i obznajmionym z zakresem działania na przydzielonym mu odcinku pracy.

W momencie ogólnych przygotowań do obrony kraju przed kobietą polską otwiera się cały szereg nowych możliwości. Nie tylko bowiem ci, którzy z bronią w ręku stają w szeregu walczących przysłużyć się mogą Ojczyźnie.

Jako jeden ze środków uzbrojenia powstają obecnie pod egidą Polskiego Czerwonego Krzyża dwutygodniowe Doraźne Kursy Przeszkolenia Sanitarnego dla kobiet. Program ich obejmuje: wiadomości ogólne z zakresu anatomii i fizjologii całego ustroju ludzkiego, najprostsze zasady ratownictwa w nagłych wypadkach i w czasie nalotu bombowo-gazowego, znajomość najważniejszych środków leczniczych, wiadomości o chorobach zakaźnych i wenerycznych, podstawy pielęgnowania chorych, jak np.: słanie łóżek, transportowanie chorych, mierzenie gorączki, podawanie lekarstw itp.

Zapisy na Kursy przyjmuje oraz udziela bliższych informacji sekretariat: Warszawa; Al. Ujazdowskie 37 m. 4 czynny bez przerwy codziennie od godz. 10 rano do 7 wieczorem. Ilość słuchaczek ograniczona.

Książki nadesłane

Wydawnictwa **Gebethnera i Wolffa:**

Włodzimierz Zbrowski: Zagadnienie rynku pieniężnego w polskiej polityce zagranicznej. Warszawa 1939 r.

Wacław Berent: Zmierzch wodzów. Opowieści biograficzne. Warszawa 1939.

Zygmunt Nowakowski: Błękitna kotwica. Powieść. Warszawa 1939.

Gordon Selfridge: Z dziejów handlu. Tom I serii „Człowiek i świat". Przekład **Ludwiki Ciechanowieckiej.** Uzupełnienia o handlu w Polsce **Prof. Stanisł. Arnolda.** Warszawa 1939. Gebethner i Wolff, Zakład Narodowy im. Ossolińskich.

Wydawnictwa **Instytutu Śląskiego;** Skład Gł.: Warszawa, Nasza Księgarnia:

Karol Miarka: Wybór pism. Zebrał i opracował **Adam Bar.** Katowice 1939.

Zbigniew Miłobędzki: Przemysł w województwie śląskim. Część II. Przemysł na odzyskanych ziemiach Śląska Cieszyńskiego. Katowice 1939.

Zdzisław Wyżnikiewicz: Ubezpieczenia społeczne na Śląsku w świetle wykonania górnośląskiej konwencji genewskiej. Katowice 1939.

Alfred Jesionowski: Problem Polski na Śląsku w świetle nowszej beletrystyki niemieckiej. Katowice 1939.

Józef Kokot: Zakres działania woj. śląskiego jako jednostki samorządu terytorialnego. Z przedmową Prof. Dra **Jerzego St. Langroda.** Katowice 1939.

Eustachy Noszczyński: Szkolnictwo mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku w świetle polskiego prawa traktatowego. Katowice 1939.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630

R E D A K T O R przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się.
P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 390 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, W-wa, Dobra 58, tel. centr. 644-59 i 592-40.